

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 9 marca 1952 r.

Nr 10 (328)

G. K. CHESTERTON

tłum. Zofia KOCZOROWSKA

O grzechu przeciw nadziei

(wyjątek z „Autobiografii“)

Kiedy ludzie pytają mnie, lub kogo innego: „Dlaczego przyłączyłem się do Kościoła Rzymskiego?“ pierwsza zasadnicza odpowiedź, choć jest to częściowo negatywna brzmi: własnego początku, patrząc nowymi oczyma przez świat w Kryształowy Pałac, który jest istotnie z kryształu Wierzy on, że w tym ziemnym kącie i w tym krótkim obrzędku

dumania. Dotyczy to zwłaszcza jednej myśli, którą, sądzę, nie będzie zbyt pompatycznie nazwać główną myślą mego życia. Nie mogę powiedzieć, by była to nauka, którą stale głosiłem, lecz nauka, którą pragnąłem istnieniem, lecz nie tak, jak to czynią optymiści, hedoniści i pogańscy głosiciele szczęścia. Ten dar jest nam dany za pewną cenę, a warunkiem jego jest spowiedź. Innymi słowy, mianem tej ceny jest Prawda albo inaczej Rzeczywistość. Oznacza ona patrzenie na rzeczywistość z własnego punktu widzenia. Proces ten, zastosowany do innych ludzi zwie się realizmem.

Zacząłem jako taki, którego pesymiści nazywają optymistą; skończyłem jako taki, którego optymiści, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nazwaliby pesymistą. W rzeczywistości nie byłem nigdy żadnym z nich i wcale się nie zmieniałem. Zacząłem od obrony czerwonych skrzynek pocztowych i wiktoriańskich omnibusów, mimo że były brzydkie, skończyłem oskarżeniem nowoczesnych reklam i amerykańskich filmów, nawet kiedy są piękne. Rzecz, którą starałem się powiedzieć wtedy, to to samo, co usiłuję wyrazić teraz i nawet najgłębszy przewrót religijny umocnił jedynie moje pragnienie, by ją wypowiedzieć. Porównałem rzeczywistość nigdy nie widzianą dwóm stronom tej samej prawdy, zestawionych gdziekolwiek razem, aż przypadkowo otworzyłem groszowy Katechizm i przeczytałem słowa: „Dwa grzechy przeciw Nadziei to pycha i rozpacz.“

Bóg naprawdę stworzył go powtórnie na podobieństwo Swoje. Jest on nowym eksperymentem Stwórcy. Eksperymentem tak nowym, jak wówczas, gdy liczył pięć lat. Stoi, jak powiedziałem, w białym świetle u cennego początku swego ludzkiego istnienia. Dziedzictwo czasu nie może go już przerazić. Może być siwy i schorzały, a liczy tylko pięć minut. Nie bronię tu pewnych doktryn, jak Sakrament Pokuty, ani równie dziwnej miłości Boga do człowieka. Nie piszę książek o nawróceniu religijnym, o którym pisałem i pisać będę jeszcze wiele razy, mimo odradzań krewnych i przyjaciół. Tu pochłania mnie jedynie niezdrowo i poniżający trud opowiedzenia historii własnego życia i stwierdzenia, jak pewne doktryny odbiły się na moich uczuciach i czynach. I jak to wynika z istoty tego zadania, szczególnie ud rza mnie fakt, że te doktryny, jak żadne inne, zdają się spajać całe moje życie od początku do końca, stawiając równorzędnie dwa problemy: dziecięcej szczęśliwości i chłopięcego

gę powiedzieć: od kiedy jestem ogrodnikiem) zrozumiałem lepiej niż kiedykolwiek że jest to sprawa przeciw chwastom. Lecz to, co powiedziałem o jaskrze, mógłbym naprawdę równie dobrze powtórzyć o słoneczniku, słońcu lub sławie, co jak rzecz poeta, jest świetniejsza nad słońce. Jedynym sposobem, by cieszyć się ziemskiem to czuć się niegodnym nawet tego ziemskiego.

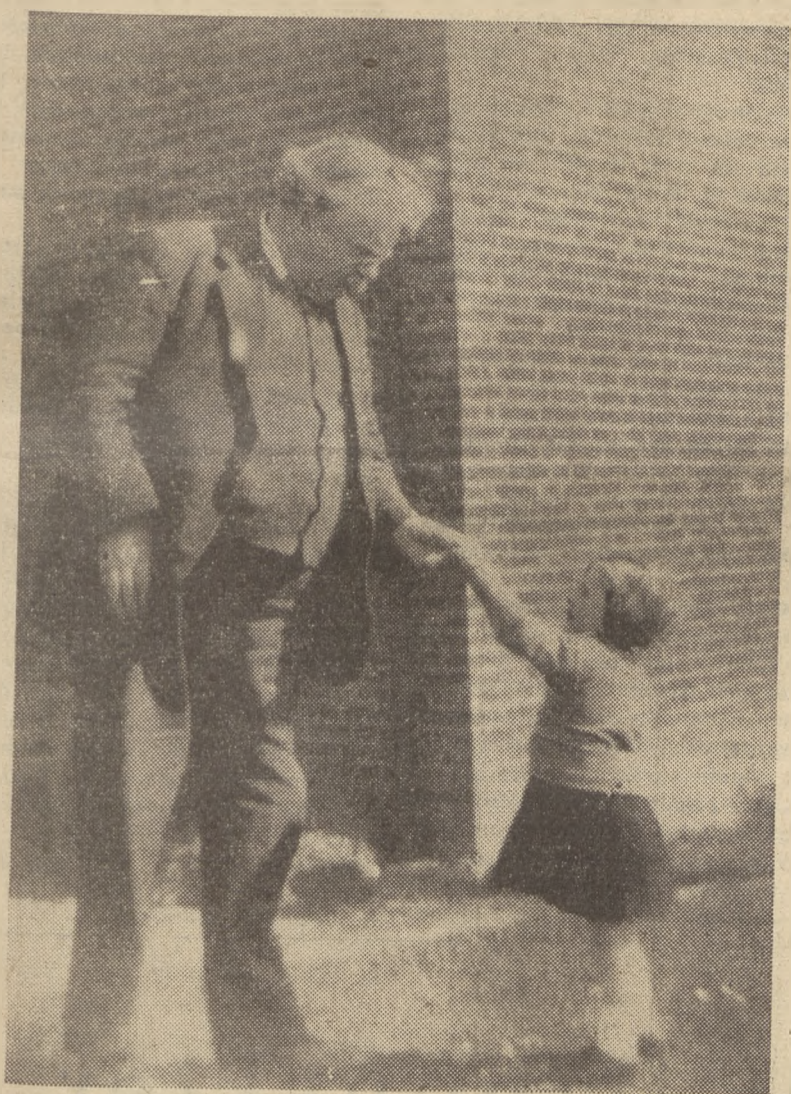
A teraz: są dwie drogi skarżenia się na chwast lub kwiat: jedna była modna w mojej młodości, a druga w późniejszych dniach: lecz obie nie tylko są mylne, lecz mylne dlatego, że sama rzecz jest prawdziwa. Pesymiści z wieku mego chłopięctwa, gdy spotkali się z jaskrem, mówili wraz ze Swinburne'm:

Znużony jestem dniami i godzinami, znużony wszystkim do utraty tchu, pyłkiem zdmuchniętym ogołoconych kwiatów, marzeniem, pragnieniem i władzą wszechświatów i nic mnie już nie wabi w niebios otchłani: jeśli czego pragnę, to jedynie snu.

Słyszając to, przeklinałem, kopałem i robiłem z siebie widowisko, niby czeplon Lwiego Żęba z jaskrem, wijącym się u kasku. Lecz jest jeszcze inny rodzaj gardzenia jaskrem, nie ten zmęczonego pesymisty, lecz najbardziej zaborczego optymisty. Przejawia się on w takich powiedzeniach jak: „O wiele piękniejsze jaskry możesz otrzymać u Selfridge'a“, lub „O wiele tańsze jaskry u Woolworth'a“. Inny sposób to zauważyć z mimowolną przechwałką: „Doprawdy tylko Gamboli we Wiedniu rozumie właściwie jaskry“, lub powiedzieć po prostu, że nikt nie zechciałby nosić staromodnych jaskrów, do kiedy we frankfurckim Ogrodzie Palmowym wyhodowano najładniejszą jaskrę, lub szydzić wprost z nie właściwości ofiarowywania jaskrów, gdy najlepsze gospodynie kładą ci do butonierki orchideje lub rzadkie kwiaty egzotyczne, byś uniósł je ze sobą. Są to więc metody obniżania wartości rzeczy przez porównania; ponieważ nie ma pokrewieństwa, lecz tylko budzące wzgardę porównanie. A wszystkie te podchwytliwe porównania opierają się ostatecznie na dziwnej i zdumiewającej herezji, że istota ludzka ma prawo do jaskrów, że w jakiś sposób możemy zażądać całego bukietu jaskrów w rajskim ogrodzie, bez obowiązku wdzięczności, podziwu, a przede wszystkim zastanowienia, czy jesteśmy ich warci. Zamiast mówić, jak stary poeta religijny: „Czemże jest

człowiek, ażebyś Ty dbał o niego, lub czemże syn człowieczy, abyś Ty miał nań wzgląd?“ mówimy, jak niezadowolony dorożkarz: „Co to jest?“ lub jak rozłoszczony major w klubie: „Czyż jest to kotlet godny dżentelmena?“ A więc, nie tylko nie cierpię tej postawy, narówni z pesymistyczną postawą Swinburne'a, lecz uważam, że sprowadza się ona do tego samego punktu: chwilowego braku apetytu na kotlet lub herbatę z jaskrów. Imię jej jest Pycha, a imię jej bliźniaczego brata — Rozpacz.

Tę samą zasadę głosiłem, gdy panu Max Beerbohm wydałem się optymistą, i tę samą zasadę głosiłem, gdy panu Gordon Selfridge musiałem niewątpliwie wydać się pesymistą. Celem życia jest ocena. Nie ma sensu nie doceniać rzeczy, jak nie ma sensu mieć więcej rzeczy, gdy się je mniej ceni. Powiedziałem, że koknejska lampa malowana na zielono jest lepsza od braku światła lub życia i że gdyby była ona naprawdę jedyną lampą, to lepiej widzielibyśmy jej światło na czarnym tle. Dekadent z moich wczesnych lat był tym tak przejęty, że gotów był powiesić się sam na lampie, by zgasnąć jej światło, pograżając wszystko w pierwotnej ciemności. Nowoczesny milioner przechodzi przez ulicę, by powiedzieć mi, że jest optymistą, bo ma 2 500 000 nowych lamp, wszystkie pomalowane nie na wiktoriańską zieleń, lecz futurystyczną, chromą zółć i elektryczny błękit i że porozwiesza je w całym świecie w takiej ilości, że nikt ich nie zauważy, zwłaszcza, iż będą dokładnie jednakowe. Lampa może mieć znaczenie nawet gdy jest brzydka; lecz on nie przydaje znaczenia lampie, czyni ją bez znaczenia. Krótko mówiąc, wydaje mi się bez znaczenia, czy człowiek jest niezadowolony w imię pesymizmu czy postępu, jeśli jego niezadowolenie paraliżuje zdolność oceniania tego, co posiada. Prawdziwa trudność polega na tym, by nie cieszyć się lampą czy krajobrazem, jaskrem czy kotлетem, lecz samą radością. Być zdolnym lubieć naprawdę to, co się lubi — oto praktyczny problem do rozwiązania dla filozofa. I teraz, przy końcu tak jak na początku, wydaje mi się, że pesymiści i optymiści nowoczesnego świata tylko zagmatwali i zaciemnili tę sprawę, przez pominięcie starej koncepcji pokory i czucia się niegodnym. A jest to rzecz ważniejsza i bardziej interesująca niż moje poglądy i właśnie za wąż naciąg rozmawia o wdzięczności, tak wąż, jak dżwonek jaskra, rozwiewane z lada wiatrem kwietnym przez wiatr, doszedłem do obcego poglądu, który jest czymś więcej od poglądu. Być może jest to jedyny pogląd, który jest istotnie czymś więcej od poglądu.



G. K. Chesterton

„Aby uwolnić się od mych grzechów“. Ponieważ nie ma drugiego religijnego systemu, który by głosił że uwalnia od grzechów. Jest to fakt stwierdzony logiką, dla wielu zdumiewającą, na mocy której Kościół dowodzi, że grzech wyznany i częściowo odpokutowany, jest istotnie odpuszczony i grzesznik rozpoczyna nowe życie, tak jakby nigdy nie zgrzeszył. I to przenosi mnie ostro wrzecz ku wizjom i wyobrażeniom, z którymi rozprawiłem się w rozdziale o dzieciństwie. Mówiłem tam o niemożliwej do opisanego, niezniszczalnej pewności w duszy, że te pierwsze lata niewinności były początkiem czegoś bardzo wartościowego, bardziej może, aniżeli wszystko, co nastąpiło potem. Mówiłem o dziwnym świetle dziennym, które było czymś więcej niż światło zwykłego dnia, świetlne, co ciągle zdaje się błyszczeć w mojej pamięci na stromych drogach z Campden Hill, skąd można widzieć zdala Kryształowy Pałac. A zatem, zgodnie z określeniem, gdy katolik wraca od spowiedzi, wstępuje znowu w zaranie

Porozmawiajmy...

Pani Heleno

Kobiety mają głos. Miło nam na tym miejscu zając się listem naszej czytelniczki, która, jak podkreśla, wiernie śledzi rozwój naszych prac niemalże od samego początku. Uwagi jej zresztą potwierdzają to wyznanie. Są ścisłe, rzeczowe i w ogromnej mierze się zgadzamy z nimi, chodzi nam raczej o ich bardziej szczegółową analizę.

List Pani zawiera dwa istotne zarzuty: że duże rozmiary ważniejszych artykułów „Dziś i Jutro” utrudniają ich odbiór mniej wyrobionym intelektualnie czytelnikom, i że słownictwo tych artykułów jest często trudne. Pyta więc Pani w zakończeniu, czy istotnie jest rzeczą słuszną, byśmy pisali pod kątem widzenia potrzeb niewielkiej grupy „stuprocentowych intelektualistów”.

Niewątpliwie musimy się tu z wielu rzeczy wytłumaczyć. Myślę zresztą, że byłoby dobrze, gdyby nasi czytelnicy znali także pracę redakcyjną za kulisami, jeśli nie technicznych, to w każdym razie praktycznych.

Tygodnik w swoim założeniu jest pismem obliczonym na szeroki wachlarz odbiorców. Nie powinien być w zasadzie pismem wyspecjalizowanym, przeznaczonym dla wąskiego grona czytelników-fachowców. Tym bardziej nasze pismo winno stawiać sobie zadania docierania do szerokiego kręgu odbiorców interesujących się aktualną problematyką katolicką zarówno od jej strony filozoficzno-doktrynalnej, jak społecznej, jak kulturalnej, jak wreszcie od strony aktualnych zagadnień politycznych. Jeśli dziennik kładzie nacisk przede wszystkim na informację i na krótkie komentarze, to tygodnik, taki jak nasz, kładzie nacisk na problem, poszerza krąg wiedzy, przemysla, upowszechnia postępową, katolicką myśl społeczną, której chcemy służyć. Tygodnik więc jest pismem przede wszystkim popularyzującym. Artykuły więc nasze powinny być ujęte w treści i w rozmiarach tak, by były dostępne każdemu inteligentnemu odbiorcy, posiadającemu podstawowe wiadomości religijne i społeczne.

Przed nami jednak rysuje się i ta trudność, że pionierskie zadanie opracowania, według wymogów epoki, różnych zagadnień światopoglądowych, ideologicznych i politycznych, wynikających z faktu, że katolicyzm, po raz pierwszy w swej historii, spotkał się z formami ustrojowymi o tendencji socjalistycznej, z perspektywą współżycia w jednym społeczeństwie z obozem o światopoglądzie marksistowskim. Ta nowa sytuacja zmusza do nowych przemysla. Obok siebie więc znajdują się na łamach naszego pisma artykuły o charakterze popularyzującym i artykuły niewątpliwie koncepcyjne, stawiające zagadnienia nowe, nieraz bardzo trudne. Świadomy więc godzimy się na to, że na naszych łamach drukowane będą materiały, ustawione na dwóch różnych płaszczyznach — koncepcyjne i popularyzacyjne. Dążymy jednak do tego, by zachować równowagę między tymi dwoma dziedzinami, zadowalniając tak czytelników bardziej zaawansowanych w ideologicznych zainteresowaniach, jak i tych, którzy szukają materiału bardziej przystępnego. Pozostaje kwestia, czy równowaga ta jest zawsze zachowana należycie i czy forma publicystyczna tych materiałów jest zawsze dociągnięta.

Zagadnienie niezmiernie ważne. Czytelnicy ułatwią nam niewątpliwie pracę, jeśli będą swe opinie jak najczęściej przysyłać. Zachęcamy ich do tego bardzo serdecznie i wierzymy, Pani Heleno, że da im Pani dobry przykład.

Sprawa druga — trudny język. Tak, to jest nasza bolączka. Od dawna staramy się ją przezwyciężyć, jednak najwidoczniej z niedostatecznym skutkiem. Jesteśmy „obciążeni dziedzicznie”. Intelektualizm katolicki był przed wojną przywilejem niedużej warstwy. Posiadała ona swój język umowny, swą jakby gwarę, w której na przykład naleciałości obcych języków były bardzo wyraźne. Dziś, uświadamiamy to sobie, krąg czytelników poszerzył się znacznie, a np. znajomość języków obcych oczywiście wzrosła nie w tej samej mierze. Stąd używanie takich słów jak: transcendenty, integralny, spekulacja, personalizm. Ma Pani rację, ale nie tak szybko da się te słowa zastąpić, lub precyzyjnie omówić. Przepraszam — nie precyzyjnie, ale dokładnie, wyraźnie omówić.

Z drugiej strony nasza epoka wprowadza także swoje pojęcia. Katolicyzm ma swoje słownictwo teologiczno-filozoficzne. W zakresie socjologii musimy budować pojęcia nowe. Nie widzimy racji nie korzystania z poprawnych definicji wychodzących z kręgu myśli niekatolickiej. Święty Tomasz z Akwinu oparł swą filozofię na pojęciach Greka i poganina — Arystotelesa. Nie ma racji, byśmy się mieli pod tym względem zamykać w jakimś językowym ghetcie. A powoduje to narastanie nowych pojęć, nieraz początkowo obcych.

Spotykamy się więc na tym odcinku z dużymi trudnościami. Będziemy nadal starali się je przezwyciężać. Potrzebna tu jest jednak pomoc czytelników. Pomoc dwojaka — z jednej strony dobra wola przyswojenia sobie nowych, nieraz trudnych a niezbędnych słów, z drugiej szczerza, ale i przemyślana krytyka naszej publicystyki. W miarę napływu uwag wrócimy do tego tematu. Tymczasem dziękujemy za list i przesyłamy serdeczne pozdrowienia w imieniu tak redaktorów, jak i skrytykowanych publicystów.

W. K.

NOTATNIK POLITYCZNY

Po konferencji lizbońskiej

KONFERENCJA w Lizbonie była dziewiątą sesją Rady Atlantyckiej. Wyniki jej sprawozdają się do powzięcia uchwały o utworzeniu „armii europejskiej” z udziałem Wehrmachtu, rozdziału między poszczególne państwa kosztów na zbrojenia i do szeregu decyzji administracyjnych. Niemcy Zachodnie nie zostały wprowadzone do organizacji atlantyckiej, niemniej formuła wspólnych zebrań NATO i „armii europejskiej” daje im praktycznie możliwość decydowania w sprawach nie dotyczących bezpośrednio ich samych. Stany Zjednoczone wzmocniły w Lizbonie swą kontrolę polityczną, gospodarczą i wojskową nad uczestnikami tzw. europejskiej wspólnoty obronnej.

Uchwały lizbońskie wymagają obecnie ratyfikacji przez parlamenty poszczególnych krajów.

Rzeczą charakterystyczną jest, że cała niemal prasa zachodnio-europejska oceniając wyniki konferencji lizbońskiej zwraca uwagę na dwa elementy: 1) że konferencja organizowana była pod kątem potrzeb wewnętrznej sytuacji politycznej w USA i 2) że realna wartość uchwał lizbońskich jest co najmniej wątpliwa.

Nie nleża wątpliwości, że jednym

Jan POGORSKI

OBRAZKI TUNISKIE

— A teraz otwórzcie wasz podręcznik historii — powiedział nauczyciel — Przeczytajcie sobie pierwszą lekcję o przeszłości naszej ojczyzny.

„Parę tysięcy lat temu rozległe lasy pokrywały nasz kraj, który zwał się Galią. Mieszkańcami jego a naszymi przodkami byli Gallowie. Oddawali oni cześć świętym dębom...”

Ośmiolatek Kaddur - ben - Jussuf podniósł niepewnie rękę:

— Panie p'sorze, mój tatuś mówi zawsze, że naszymi przodkami byli Berberowie... takie dawne górskie szczepy z Atlasu... a mój tatuś przecież uczy w medersie!).

Nauczyciel stropił się. Była to jego pierwsza posada. Sam prosił o stanowisko w Afryce Północnej. Pensja była tu wyższa niż we Francji a przy tym był szczerze przekonany, że będzie miał możliwość „nieś pochodnie francuskiej kultury w masę tubylcze kolonii”, jak się to mówiło z odrobiną przekory w nauczycielskim seminarium. A tymczasem, już przy pierwszej lekcji natrafił na nieoczekiwaną przeszkodę, jaką zgłotowała mu dziwaczna rozbieżność między własnym przygotowaniem i szkolnym podręcznikiem a tuniską rzeczywistością.

Ogarnął wzrokiem niespokojną gromadkę małych arabów o czarnych, sarnich oczach. Przy najlepszych chęciach trudno było sobie wyobrazić, by ich przodkami byli jasnowłosi, powolni Celtowie. A zresztą, każdy uczeń liceum wiedział, że tak nigdy nie było.

Na szczęście dzwonek zwiastujący koniec lekcji uwolnił młodego nauczyciela od odpowiedzi. Chłopcy wybiegali śpiesznie, wśród gwaru, szturchańców, pokrzykiwań i wesołego trzaskania pulpitemi. Tylko mały Ahmed przysnął się cicho do katedry i podniósłszy swe wielkie czarne oczy, spytał nieśmiało:

— Ja tylko chciałbym wiedzieć jak wygląda taki dąb, o którym czytaliśmy. Bo Jussef mówi, że taki jest jak oliwka, tylko większy, wyższy jeszcze od palmy daktylowej...

*

Trzynastego stycznia nowy Rezydent Generalny, wicehrabia de Hauteclouque, odbył wspaniały wjazd do Tunisu. Przybył na lśniącym krą-

*) medersa — mahometańska szkoła wyznaniowa.

żownikowi wokół którego krążyło sześć kontrtorpedowców a dwie eskadry myśliwców wykonywało nad głowami witających go wojsk francuskich skomplikowane ewolucje. Mówiono otwarcie, że nowy rezydent dostał ważne instrukcje i że wrócić skończy się ten stan niepokoju, jaki od paru miesięcy panował w Tunisie. Nazajutrz rano dowiedziano się, jakie instrukcje przywoził ze sobą impan de Hauteclouque. Policja otworzyła ogień na demonstrantów.

W Mateur dowódca francuskiego garnizonu rozkazał wyjechać czołgom na rynek. Miała to być pewnego rodzaju demonstracja siły, rodzaj groźnego ostrzeżenia dla ludności podmiowanej przez strajk generalny, rozruchy w Sousse, Sfax, Gabès, Kairouan. Ale widok francuskich czołgów stał się właśnie hasłem do samorządnej manifestacji całej ludności arabskiej miasta. Na żołnierzy poleciały kamienie. Rozjątrzony tłum obiegł czołgi, usiłując dostać się do wnętrza wieżyczek i wizjerów. Dowodzący lewym skrzydłem porucznik Régamey zameldował przez radio swemu dowódcy: „Nie mogę dłużej gwarantować za całość i bezpieczeństwo mojego wozu. Proszę o natychmiastowy rozkaz otwarcia ognia!”

Po dłuższej chwili do radiotelegrafisty doszedł zmęczony głos majora: „Jeśli nie może się ich pan pozbyć inaczej, to trudno. Allez-y!”

Zagrzmiały sprężone karabiny maszynowe. Tłum rozproszył się natychmiast zostawiając na rynku ośmiu zabitych i kilkudziesięciu rannych

W Béja liczba rannych wyniosła w ciągu jednego dnia 130.

W Ferryville zabito 15 osób
W Sousse 800 Arabów rzuciło się na koszarę policji. Niektórzy uzbójcy byli w granaty. Policja zaczęła strzelać. Rezultat: 8 zabitych, 20 rannych, kilkudziesięciu aresztowanych.

*

Od dwóch miesięcy krew leje się na ulicach tunetańskich miast. Setki patriotów, postępowych działaczy, członków Komitetu Obrony Pokoju, komunistów, bojowników nacjonalistycznej partii Néo-Destour wędruje do obozów położonych na granicy pustyni południowej. Od dwóch miesięcy Francuzi w metropolii nie mogą wyjść ze zdziwienia. Co to się dzieje w Tunisie?

— Czegóż u diabła chcą Tunetań-

czycy? — pyta się paryski eptjer, notariusz z Orleanu, armator z Brestu, stara hrabina z Prowansji lub wiejski doktor z Szampanii. — Od kilkudziesięciu lat dbamy o nich, budujemy szkoły, szpitale, porty, fabryki, domy handlowe. Wydajność ziemi i wartość eksportowanych owoców i produktów rolniczych wzrosła kilkanaście razy od czasu założenia Protektoratu. Mają muzea, mecety, kościoły, klasztory, laboratoria, możliwości zarabiania pieniędzy i kształcenia dzieci. Czegóż chcą więc jeszcze?

Otóż to. Tunetańczycy chcą po prostu wolności. Nic więcej, ale też nic mniej.
Czterdziestoletni Habib Bourguiba, przywódca nacjonalistycznego stronnictwa Néo-Destour, oświadczył amerykańskiemu korespondentowi, panu Cranston Jones¹⁾:

„Tu nie chodzi wcale o to, by pewnego pięknego poranka wrzucić wszystkich Francuzów do morza. Ale muszą oni zrozumieć, że ich obecność tutaj rani naszą dumę narodową”.

Według ostatnich statystyk w Tunisie żyje około 150.000 Francuzów oraz prawie 3 i pół miliona tubylców. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat protektoratu dwadzieścia osiem lat ogłoszony był stan wyjątkowy. W ciągu ostatnich tygodni zamknięto kilkanaście pism tubylczych i wstrzymano debity postępowych pism francuskich.

W Tunisie zaraz za mostem kartagińskim symboliczna tablica objaśnia. „Kair — 3.000 km”. I dlatego niejedno pismo francuskie podając depesze ostatnich zamieszek i krwawych represji francuskich w Północnej Afryce, opatruje je sensacyjnym nagłówkiem „Stolica Tunezji znajduje się w Kairze!”.

Ale w stwierdzeniu tym jest tylko część prawdy. Naród tunetański dojrzał bowiem do niepodległości a dalsza władza kolonializmu francuskiego utrzymać się dziś może tylko przy pomocy amerykańskich czołgów i rządów „silnej ręki” wicehrabiego de Hauteclouque. Pytanie tylko, jak długo jeszcze krew płynąć będzie ulicami Tunisu, po to, by potomkowie Krumirów uczyli się historii Francji a wielkie towarzystwa handlowe francuskie dawały wzrastające dywidendy?
Jan Pogorski

¹⁾ „Time” z 4-II-52.

nak za stosowne przypomnieć — jak np. „New York Daily News” — że „USA muszą wywrzeć maksymalną presję na swych europejskich aliantów, celem dalszego ich popychania po drodze sprezytowania w Lizbonie”.

Dzienniki amerykańskie nie bez potrzeby mówią o konieczności tego „popychania”. W krajach Europy zachodniej wyniki konferencji lizbońskiej nie wywołały, rzecz prosta, entuzjazmu. We wszystkich tych krajach wydatki na zbrojenia prowadzą do katastrofy gospodarczej i mobilizują społeczeństwo przeciw polityce wojny. Premier francuski Faure może być uważany za pierwszą ofiarę Lizbony, gdyż jego gabinet obalił się właśnie na próbie podwyższenia podatków dla pokrycia zwiększonych w Lizbonie zbrojeń. W społeczeństwie francuskim szczególnie żywa i silna jest opozycja przeciwko udziałowi Wehrmachtu w armii europejskiej. Francuzi doskonale zdają sobie sprawę z konsekwencji tego, o czym przed kilku dniami pisał „U. S. News and World Report”: „Armia niemiecka, a nie armia francuska, stanowi dla strategów amerykańskich tę jedyną siłę, na którą mogą liczyć. Niemcy Zachodnie staną się ponownie wielkim mocarstwem w Europie zachod-

niej. Zamiast tego, żeby Europa zachodnia kierowała Niemcami, Niemcy będą mogli kierować Europą zachodnią”.

Pesymistyczne i bagatelizujące wyniki konferencji lizbońskiej, opinie prasy zachodnio - europejskiej należy interpretować dwojako. Raz odzwierciedlają one sprzeczność istniejącą między Stanami Zjednoczonymi a ich europejskimi satelitami, którzy bynajmniej nie mają zamiaru rzucać się jak najprędzej w niepewną przyszłość awanturnych planów USA. Drugi raz obliczone są one w dużej mierze na uspokojenie wzbudzonej opinii społeczeństw zachodnio - europejskich. Władom jest bowiem, że uchwala lizbońska wymaga ratyfikacji przez parlamenty, a nacisk opinii publicznej na parlamenty jest dziś tak silny, że trzeba się z nim liczyć. Nie bez słuszności tedy amerykańska agencja „United Press” zdradza zdenerwowanie, gdy pisze: „Udragnione przez Kongres kontyngenty niemieckie, nie powstaną wcześniej niż za 18 miesięcy, gdyż co najwyżej 6 miesięcy zajmie ratyfikacja układu o armii europejskiej przez poszczególne kraje, a dalsze 12 miesięcy potrzebną będzie na wystawienie niemieckich dywizji”...

Konstanty ŁUBIEŃSKI

ZAPOZNAJEMY CZYTELNIKÓW Z PROJEKTEM KONSTYTUCJI

USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

DRUGIM elementem ustroju społeczno-gospodarczego jest system planowania ściśle związany z systemem własnościowym, który omówiliśmy w numerze poprzednim. To powiązanie jest obustronne. Z jednej strony bowiem socjalistyczny system własności sam przez się narzuca konieczność wprowadzenia systemu planowania, z drugiej, istnieje niemożliwość wprowadzenia w życie systemu planowania, bez wyrażenia socjalistycznego systemu własnościowego. W Polsce, w kraju budującym socjalizm system planowania stanowi podstawowy element ustroju, co znajduje wyraz w szeregu postanowień projektu Konstytucji.

Przed wszystkim art. 3 określający konkretne zadania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest fundamentalnym dla systemu planowania ponieważ ust. 3 stwierdza wprowadzenie gospodarki planowej.

Analogicznie jak w stosunku do innych instytucji, projekt podaje cele, którym gospodarka planowa ma służyć. Generalnie cele te ujęte są w art. 7 ust. 3, który postanawia, że:

„Zasadniczym celem planowej polityki gospodarczej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest stały rozwój sił wytwórczych kraju, nieustanne podnoszenie poziomu życiowego mas pracujących, umacnianie siły, obronności i niezależności Ojczyzny“.

Ponadto projekt podkreśla pewne zadania szczególne, które mogą być realizowane tylko w oparciu o system planowej gospodarki, a więc koordynacja gospodarcza pomiędzy miastem i wsią (art. 9) i likwidacja bezrobocia poprzez planowy wzrost sił wytwórczych (art. 58, ust. 2). Wprawdzie nie jest to wyrażone *expressis verbis*, tym niemniej nie ulega wątpliwości, że przewidziana w art. 10 pomoc dla indywidualnych gospodarstw rolnych będzie mogła być realizowana w oparciu o system planowania, który w pewnym stopniu również obejmuje sektor gospodarki indywidualnej.

Powiązanie pomiędzy systemem planowania a socjalistycznym systemem własności znajduje wyraz w art. 3, ust. 3, który stwierdza, że gospodarka planowa opiera się o przedsiębiorstwa stanowiące własność społeczną oraz w art. 7, ust. 1, gdzie czytamy, iż narodowy plan gospodarczy opiera się na społecznych środkach produkcji, wymiany, komunikacji i kredytu.

Odnosnie form gospodarki planowej projekt Konstytucji nie zawiera szczegółów, ogranicza się tylko do postanowień dotyczących narodowego planu gospodarczego (art. 7), jego znaczenia oraz dotyczących budżetu państwa. Ponadto art. 41 mówi o terenowych planach gospodarczych i budżetach.

Narodowe plany gospodarcze na okresy kilkuletnie uchwała Sejm (art. 13), natomiast roczne narodowe plany gospodarcze uchwała Rada Ministrów (art. 32). Jest to zmiana w stosunku do obowiązującego ustawodawstwa, według którego również roczne plany wymagały uchwały Sejmu.

Budżet państwa uchwała Sejm (art. 18) na podstawie projektu przedłożonego przez Radę Ministrów. Terenowe plany gospodarcze i budżety uchwalają Rady Narodowe.

Wydaje się niewątpliwym, choć nie jest to wyraźnie stwierdzone, że istnieje ściśle powiązanie planów i budżetów terenowych z narodowym planem gospodarczym i budżetem państwa, które ustalają limity dla poszczególnych terenów. Plany i bu-

dżety terenowe są opracowywane w ramach tych limitów.

Zasady systemu planowania przyjęte w projekcie Konstytucji pokrywają się z zasadami, będącymi podstawą funkcjonującego systemu. Jak wiadomo podstawą działalności gospodarczej jest Plan 6-letni, realizowany w ramach rocznych narodowych planów gospodarczych. Każdy uspołeczniony zakład, każda jednostka administracyjna działająca w oparciu o plany i budżety. System planowania obejmuje w całej pełni sektor uspołeczniony. Jednakże również indywidualne przedsiębiorstwa miejskie i gospodarstwa chłopskie są w pewnym stopniu wciągnięte w orbitę planowości. W szczególności system kontraktacji w rolnictwie stosowany zarówno w zakresie produkcji zwierzęcej jak i roślinnej przyczynia się do koordynacji gospodarki rolnej z przemysłową.

Nie można zaprzeczyć, że funkcjonowanie systemu planowania aczkolwiek coraz doskonalsze natrafia tu i ówdzie na pewne trudności. Przyczyną tych trudności jest przede wszystkim silniejsze tempo rozwoju gospodarczego aniżeli przyrost (zresztą również bardzo znaczny) kadr fachowych. Mimo wszystko jednak jest faktem niewątpliwym, że bez systemu planowania nasze olbrzymie osiągnięcia gospodarczo-rolne w ostatnich latach byłyby niemożliwe. Dlatego też utrwalenie zasad systemu planowania w nowej Konstytucji stwarza jeden z głównych warunków realizacji naszych wielkich zamierzeń gospodarczo-społecznych.

Trzecim elementem ustroju jest system socjalny. Przez system socjalny określamy w niniejszym artykule całokształt praw i obowiązków obywatela w dziedzinie społeczno-gospodarczej w odróżnieniu od systemu politycznego, obejmującego prawa i obowiązki polityczne.

Przez nadanie Rzeczypospolitej Polskiej charakteru państwa ludowego, a więc państwa ludzi pracujących, praca stała się podstawą całego systemu socjalnego.

Dlatego też znowu przejdziemy do omówienia poszczególnych praw i obowiązków w dziedzinie społeczno-gospodarczej, należy podkreślić, co mówi projekt o samej pracy.

Jak stwierdza art. 14 „praca jest prawem i obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela“. To sformułowanie stawia pracę na najwyższym miejscu w życiu społecznym.

W takim ujęciu praca nie jest traktowana jako jakieś zło konieczne, jako jakiś serwitut nałożony na człowieka, lecz jako pewnego rodzaju właściwość natury ludzkiej, rodzącej nie tylko obowiązek lecz również prawo do pracy. Praca w świetle projektu Konstytucji staje się nie tylko drogą do zaspokojenia potrzeb, lecz również stanowi szczególną wartość dla człowieka skoro jest sprawą honoru. Również podkreślenie celu pracy zapewni jej szczególny autorytet. Celem pracy jest w myśl art. 14 wzmacnianie siły i potęgi Ojczyzny, powiększenie dobrobytu narodu i przyspieszenie całkowitego urzeczywistnienia ustroju socjalistycznego. W świetle tak wielkich celów, nie dziwnego, że Konstytucja domaga się dynamicznego charakteru pracy, wyrażającego się we wzajemności i doskonaleniu jej metod. Konsekwencją takiego stanowiska w stosunku do pracy jest ust. 2, art. 14, stwierdzający, że „przedownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu“.

W ten sposób pojęta praca jest w myśl art. 57 tytułem praw i obowiązków obywatelskich. W dalszym ciągu zajmujemy się prawami i obowiązkami, które naszym zdaniem składają się na system społeczny, stanowiący podstawowy element ustroju społeczno-gospodarczego.

Dokończenie*)

WDZIEDZINIE społeczno-gospodarczej stwierdzamy w projekcie Konstytucji następujące obowiązki:

1. Obowiązek pracy wynika z już omówionego pojęcia pracy. Wypełnianie tego obowiązku jest dowodem obywatelstwa i legitymacją do korzystania z praw obywatelskich. Obowiązek ten zatem ciąży na wszystkich obywatelach, oczywiście za wyjątkiem tych, którzy do pracy nie są zdolni ze względu na wiek lub stan zdrowia.

2. Obowiązek doskonalenia pracy (doskonalenia jej metod, współzawodnictwa) wiąże się z ogólnym rozwojem, któremu ulega życie społeczne w kraju socjalistycznym czy budującym socjalizm. Praca jest wyrazem aktywności człowieka, czyli tego czynnika, który jest decydującym motorem postępu.

3. Obowiązek przestrzegania przepisów Konstytucji i ustaw zawarty w art. 76 i art. 4, ust. 2 wynika z zasady praworządności, będącej podstawowym założeniem przyszłej Konstytucji.

4. Przestrzeganie dyscypliny pracy, o której wspomina zarówno art. 76 jak i art. 14 wiąże się przede wszystkim z wielkimi zadaniami, które stoją przed naszym narodem. Zadania te wymagające olbrzymiego nakładu pracy, nie pozwalają na tolerowanie marnotrawstwa pracy ludzkiej przez wszelkiego rodzaju naruszanie dyscypliny pracy.

5. Szanowanie zasady współżycia społecznego (art. 76). Zasada ta wynika ze zrozumienia znaczenia życia zbiorowego jako podstawy postępu i polega na szacunku dla wszelkich poczynań społecznych, a w konsekwencji winna prowadzić do maksymalnej aktywności w życiu społecznym.

6. Wypełnianie sumiennie obowiązków wobec państwa (art. 76). Na odcinku społeczno-gospodarczym obowiązek ten powinien wyrażać się przede wszystkim w rzetelnym wykonywaniu wszelkich świadczeń ustalonych na rzecz państwa, a więc np. podatków, opłat, różnych usług itp.

7. Strzeżenie i umacnianie własności społecznej. Ten postulat nabiera szczególnej wagi jeśli uświadomimy sobie, że społeczeństwo wychowywane przez długie lata w duchu obojętności, a nawet pogardy do własności społecznej jeszcze w dostatecznej mierze nie wyżyło się dawnego stosunku i nie przywykło tak szanować i troszczyć się o mienie społeczne jak o własne.

PRAWA obywatelskie dotyczące życia społeczno-gospodarczego, zawarte w projekcie Konstytucji, są następujące:

1. Prawo do pracy tj. do zatrudnienia. Praca nie jest tylko obowiązkiem, lecz jak stwierdza art. 14 jest prawem, a powtarza tę zasadę art. 58 ust. 1. Jednakże projekt Konstytucji nie ogranicza się tylko, jak to czynią konstytucje burżuazyjne do deklaracji na temat prawa do pracy. Konstytucja państwa realizującego idee socjalizmu stwarza pełne warunki dla realizacji tego prawa, jak to stwierdza ust. 2 art. 58, a więc uspołecznienie własności podstawowych środków produkcji, planowy wzrost sił wytwórczych, rozwój wolnego od wyzysku społeczno-gospodarczego ustroju na wsi itd. Innymi słowy realizacja prawa do pracy w stosunku do całości społeczeństwa czyli pełne i trwałe zatrudnienie jest możliwe tylko w warunkach stworzonych przez ustrój socjalistyczny lub ustrój zmierzający do socjalizmu.

2. Prawo do wynagrodzenia według ilości i jakości pracy, zawarte w art. 58 ust. 1, wyraża również art. 14 ust. 3 wprowadzający zasadę: „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy“.

Jest to znana zasada socjalistyczna, całkowicie przeciwstawna zasadzie tak zwanego spiżowego prawa płac przyjętej w systemie kapitalistycznym, według której wynagrodzenie za pracę czyli płaca waha się na poziomie „utrzymania nieodzownego do istnienia i rozmnażania“. Zasada socjalistyczna przyjęta w projekcie Konstytucji jest wyrazem przede wszystkim postulatu sprawiedliwości. Zasada kapitalistyczna jest wyrazem rzekomo niewzruszonych praw ekonomicznych, a w istocie rzeczy jest wyrazem interesów kapitalistów.

3. Prawo do wypoczynku stanowi właściwie element wynagrodzenia (obok płacy) uzyskiwanego za pracę. Art. 59 mówi nie tylko prawie do wypoczynku, lecz również wskazuje co zapewnia realizację tego prawa, a więc ustawowe skrócenie czasu pracy, coroczne płatne urlopy, organizacja wczasów, rozwój turystyki, uzdrowisk itd.

Polska Ludowa już w ciągu tych 7 lat dokonała radykalnego przewrotu w stosunku do lat przedwojennych, stwarzając szerokie możliwości wypoczynku dla rzesz pracowniczych. Ten proces oczywiście nie jest zakończony i ogromne wysiłki w kierunku dalszego rozszerzenia tych zdobyczy mas pracujących będą, jak to wynika z projektu Konstytucji, kontynuowane.

4. Prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy (art. 60) to również dziedzina, w której dotychczasowe zdobycze są ogromne, przy czym projekt Konstytucji wyraźnie zakłada dalszy ich rozwój.

5. Prawo do nauki. Projekt stwierdzając do prawa równocześnie podaje te wszystkie czynniki, które zapewniają i zapewnią będą w coraz szerszym zakresie realizację tego prawa, a więc między innymi bezpłatne szkoły podstawowe, stała rozbudowa szkolnictwa średniego, zawodowego i wyższego, akcja doszkalania, system stypendiów, bursy, domy akademickie itd.

Bez żadnej przesady można stwierdzić, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech współczesnego społeczeństwa polskiego jest to, że prawie całe społeczeństwo uczy się. Tęsknota do wiedzy tak właściwa każdemu człowiekowi znajduje w naszym kraju dzięki ogromnej akcji oświatowej, coraz pełniejsze zaspokojenie.

6. Prawo do kultury (art. 62) to znaczy do korzystania „ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej“, znajduje potwierdzenie w Konstytucji przy równoczesnym wskazaniu środków zapewniających urzeczywistnienie tego prawa.

Udział szerokich mas w życiu kulturalnym już bardzo poważny, w ogólności nie porównywalny ze stanem przedwojennym, będzie jak zapowiada art. 62 coraz szerszy.

7. System socjalny przyjęty w projekcie Konstytucji byłby niepełny, gdyby nie podkreślić równouprawnienia kobiety z mężczyzną we wszystkich dziedzinach. Temu równouprawnieniu towarzyszą równocześnie postanowienia gwarantujące prawa kobiety jako matki oraz gwarantujące opiekę nad dzieckiem.

INNE prawa i obowiązki obywatelskie, zawarte w projekcie Konstytucji wywierają również wpływ na życie społeczno-gospodarcze. Jednakże prawa i obowiązki powyżej wymienione odnoszą się bez-

pośrednio do stosunków społeczno-gospodarczych i stąd zaliczamy je do systemu społecznego.

Przedstawiony system społeczny charakteryzują cztery zasadnicze cechy.

Przed wszystkim jest on głęboko humanistyczny. Humanizm jego wyraża się w trosce o człowieka, o jego rozwój. System ten wyraźnie wiąże wzrost potęgi państwa z rozwojem człowieka. Przy czym nie chodzi tu tylko o podnoszenie dobrobytu materialnego, lecz również o rozwój wszechstronny, więc również intelektualny i moralny. Skoro uwzględnimy art. 70 ust. 1 to znajdziemy również miejsce dla rozwoju życia religijnego, tak decydującego czynnika, w naszym przekonaniu, o rozwoju człowieka.

Nie można oczywiście zaprzeczyć, że wielkie zadania, które stanęły przed naszym pokoleniem, zadania przebudowy struktury gospodarczej kraju, obrony pokoju i niepodległości nie pozwalają na takie zaspokajanie potrzeb człowieka, które odpowiadałoby postulatowi wynikającemu z ustroju socjalistycznego. Mało tego, trzeba to jasno powiedzieć, że częstokroć walka o byt i wielką przyszłość narodu wymaga postawy heroicznej. Jednakże nie ulega również wątpliwości, że wprowadzany system społeczny stwarza podstawowe warunki dla rozwoju człowieka i że to co już dokonano dla zaspokojenia jego potrzeb, w szczególności tych, które dawniej lekceważono (jeśli chodzi o szerokie masy społeczne), dotyczących kultury, opieki społecznej, oświaty, to znacznie przekracza stan przedwojenny, a tempo w jakim te osiągnięcia zostały dokonane budzą podziw w całym świecie.

Drugą cechą charakterystyczną naszego systemu społecznego to jest demokratyzm. Faktyczne prawo do rozwoju ma w myśl tego systemu każdy obywatel. To, że klasa robotniczo-chłopska jest uprzywilejowana, jeśli można tak powiedzieć, to nie jest naruszeniem demokracji tego systemu. Nie jest, bo pierwsze — klasa robotniczo-chłopska to olbrzymia większość narodu, a po drugie — uprzywilejowanie tej właśnie klasy to nie innego jak tylko wyrównanie i to na pewno tylko częściowe tych krzywd, które klasa ta doznała w przeszłości.

Trzecią cechą charakterystyczną omawianego systemu to realizm. System ten jest oparty o takie instytucje (system własnościowy, planowania) oraz zawiera tego rodzaju urządzenia, że postulaty jakie stawia Konstytucja są realne.

W końcu charakterystyczną cechą tego systemu społecznego, jak i całego ustroju jest jego dynamizm. Jest on oparty na założeniu stałego rozwoju wszystkich praw i urządzeń, a zatem coraz pełniejszego i doskonalszego zaspokajania potrzeb człowieka.

IV.

PO powyższym omówieniu poszczególnych elementów ustroju społeczno-gospodarczego należy dokonać jego oceny ogólnej.

Jako katolicy jesteśmy zobowiązani dokonać oceny przede wszystkim z punktu widzenia naszego światopoglądu. Od czterech lat na łamach naszych pism staramy się wykazać nie tylko brak zasadniczej sprzeczności między zasadami ustroju społeczno-gospodarczego realizowanego w Polsce, a przyjętego w projekcie Konstytucji, lecz również przytoczamy wiele argumentów dla uzasadnienia poglądu, iż w naszej epoce właśnie taki ustrój stwarza warunki dla realizacji prawdziwych katolickich postulatów społecznych.

(Dokończenie na str. 6)

*) Por. poprzedni numer „Dziś i Jutro“.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

PRAWDA O BLOY I BERNANOS

BOHATEROWIE (jakże ich bowiem nazwać inaczej?) świeżo wydanych esejów Dobraczyńskiego są dotąd w Polsce prawie nieznanymi. Czy można bowiem określić jako wiedzę o pisarzu, a więc i pokrywającą się z nią wiedzę o człowieku, umiejętność posługiwania się czyimś nazwiskiem? Czy ta sloganowa wiedza może być syntezą twórczości? Bernanosowi szczególnie się u nas stosunkowo jeszcze nieźle tłumaczono go przed wojną, podle bo

dostatecznie nadanego im miana wspólna im bezkompromisowość i prawdomówność. Gwałtowność Bloy to nie jakiś nieokreślony „elan vital” wyladujący się w burdach, napaściwej publicystyce i książkach wpadających nazbyt często w ton paszkwiłu, to nie gwałtowność wewnętrznej przekonania o posiadanej słuszności, lecz nieubłagana walka w imię przeżytej głęboko prawdy, walka ze wszystkim, co w głębi sumienia uważa się za

kapitalizmem, zjawia się Bloy i z właściwą mu gwałtownością, nie licząc się z nikim i niczym — uderza z niezwykłą, jak na człowieka jego epoki i środowiska, jasnością w istotę i mechanizm kapitalizmu:

„*Podłość, chamstwo, koltuneria i okrucieństwo. Brak miłości, brak ofiarności, zaślepienie, głupota, radość ze sprawionego drugiemu bólu. Najpierw okrada się biedaka, a potem urządza się burzliwe zabawy, by zebrać pieniądze na pomoc dla niego*... Trudno o dosadniejszą, bardziej oskarżycielską charakterystykę współczesnej katolickiej filantropii. A dalej: „*Trzęsienie ziemi, pożary i cyklony służą handlowi, nie mówiąc już o wojnach i masakrach w Azji czy w Europie... Interesy są zawsze interesami. Jak wiadomo, czajgłoda banda wyzyskiwaczy brytyjskich lub amerykańskich jest w stanie skazać na głód ludzi w określonym punkcie globu ziemskiego. Zimą 1897/98 podziwiany spekulator amerykański dla podtrzymania haussy na rynku zbożowym kazał wyspać w morze 70 tysięcy hektolitrow. W tym samym czasie inni, którzy ciągle jeszcze noszą głowy na karkach, palili zbożem w lokomotywach*... „...*A teraz potworność nad potwornościami: praca dzieci, niedorosłych wyzyskiwanych w przemyśle produkującym bogactwa znana jest wszystkim krajom Jezus powiedział: Pozwólcie im przyjść do mnie*” Bogacze mówią „Przyszłycie ich nam do fabryki, do warsztatu, do nowego zabójczego piekła. Niech wysięk ich drobnych ramion dorzuci coś nieco do naszej obfitości”.

Równie przenikliwie pisze Bloy o problemach kolonialnych, a jest to, nie zapominajmy, trwający lat kilkadziesiąt okres powstawania kolonialnego imperium Francji i Anglii, okres krwawych pacyfikacji, bezwzględnej nakładania jarzma niewoli ludom kolorowym. Bloy piętnuje, krzyczy, młota gromy — wszystko na próżno, dźwięk jego głosu nie dociera do niczyich uszu a cóż dopiero do sumień. Wystarczyło, by tylko przemówił do tzw. opinii publicznej. Po pierwszym wystąpieniu zapada nad pisarzem zмова milczenia, która otaczać go będzie aż do końca życia i którą nie łatwo rozproszyć będzie nawet pó śmierci. Bloy umrze w krańcowej nędzy, która towarzyszyła mu przez całe życie, umrze nie wysłuchany przez współczesnych, zwalczany najplugawszymi sposobami, przede wszystkim przez tych, w których najczęściej celował swe pociski — letnich, burżuazyjnych katolików.

Bloy nie potrafi w ogóle mówić spokojnie, tolerancja jest chyba ostatnią cechą, którą można mu przypisać. Mając przed sobą burżuja, „*te świnię, która chciałaby umrzeć własną śmiercią, bogacza, który żyjąc dostatnio w swym domu rezerwuje psią budę dla Pana Naszego Jezusa Chrystusa*” — daje się unosić wściekłości, on, nigdy nie dobiegający słów, tu sięga nieraz do ryszotkowego niemal repertuaru określeń, onanowuje go paroksyzmy gniewu. „*Mierzę w głowę — napisze — by mieć pewność, że nie trafię niżej serca*”. Ale nic nie jest w stanie wytrącić chciwych mieszczan z klimatu błogostanu. „*Och gdybyż ci nasi bogacze uspłuczeni* — krzyczy Bloy — *byli tylko prawdziwymi poganami i zdecydowanymi batwochwalcami — nic by nie było do powiedzenia! Wiadomo, że tacy uważają za swoje zadanie niszczyć słabszych, ci zaś marzą tylko o okazji, by zniszczyć bogaczy. Ale oni z tym wszystkim chcą być katolikami i to takimi właśnie katolikami. Są gotowi kryć swoje bożyszczę nawet w Przenajświętszych Ranach*”

BLOY nienawidzi „burżuja”, zwłaszcza katolika, który stał się burżujem przestając być katolikiem, i nienawidzi tej bynajmniej nie ukrywa Ten, który powstaje w imię Miłości do walki ze złem, który poświęca wszystkie swe siły dziełu zapanowania mi

łości w stosunkach między ludźmi — nienawidzi.

Dobraczyński wyjaśnił tę pozorną, mogącą gorszyć niektórych, sprzeczność... „*Nienawiść odczuła jeszcze nie jest nienawiścią. Póki nie zgodziliśmy się na nią, póki gotowi jesteśmy z tym uczuciem walczyć, nie jest jeszcze nie jest stracone Bloy nienawidził „burżuja”, bo ten „burżuj był dla niego najstraszniejszym wrogiem chrześcijaństwa*”.

Ale puszczać wodze swoim gniewom i swojej niechęci usiłował przemóc, przezwyciężając w sobie, straszliwy gniew na człowieka, przez którego chrześcijaństwo przestało być chrześcijaństwem. Bloy nie rezygnował z modlitwy, pojmując dobrze jako chrześcijanin, że wśród wielu metod przemieniania ludzi, modlitwa jest metodą jedną z najskuteczniejszych. Tylko że modląc się w życiu osobistym, w swej twórczości nie przestawał cisnąć piorunów na „burżujstwo” katolików.

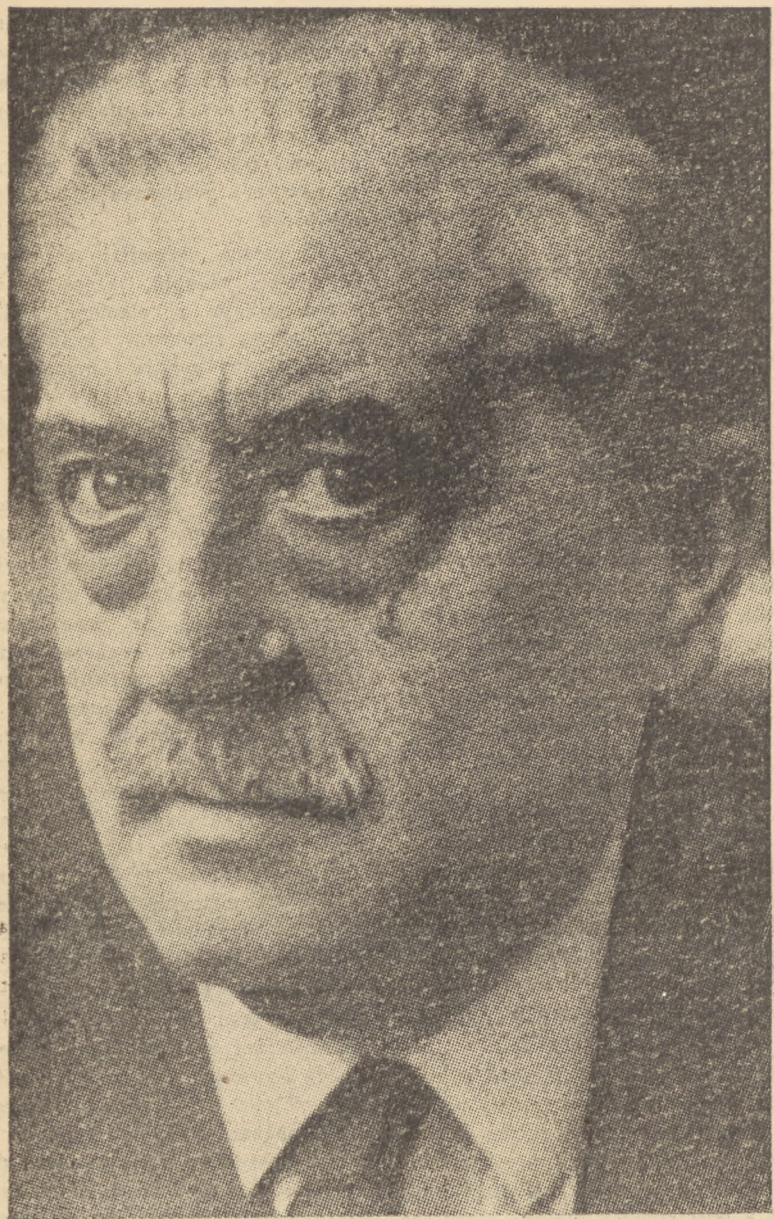
Dobraczyńskiemu udało się w stosunkowo niewielkim objętościowo esejie ukazać indywidualność Bloy na tle jego życia i twórczości, potrafił dzięki umiejętnemu doborowi cytowanych tekstów i dużej wnikliwości swych uwag stworzyć wizerunek pisarza zdumiewająco pełny. Widać wyraźnie, że książka nie jest wynikiem jednorazowej lektury, jak to często bywa w ramach tzw. gorączkowego zbierania materiałów. Autor „Gwałtowników” zna dobrze epokę Bloy, jej atmosferę, współczesnych zehrzającemu prorokowi luminary, ich dzieła, a jego znajomość Bloy nosi wszystkie cechy prawdziwego przeżycia.

To samo trzeba powiedzieć o stosunku Dobraczyńskiego do drugiego bohatera „Gwałtowników” — Georges’a Bernanos. Odrzucenie Bernanos wypada w sposób równie pełny, chociaż autor eseju zastosował tu metodę nieco odmienną. Bernanos wyłama się przed nami spoza konturów postaci występujących w jego powieściach, jeśli chodzi o życie prywatne pisarza esej ogranicza się wyłącznie do podania zasadniczych faktów.

Natomiast tragiczne codzienne życie Bloy stanowi w poświęconym mu esejie wspólne tło z dziełem. Szczegółowej wyrazistości i autentyzmu nabiera sylwetka twórcy „*Celle qui pleure*” (Ta która płacze) dzięki przytoczonym fragmentowi pamiętnika, jakże wstrzą-

a modnemu podówczas psychologizmomu niż tkwiącemu w niej ładunkowi światopoglądowemu. Tak przynajmniej wyglądało to od strony większości czytelników. Ale burzliwy temperament pisarza widoczny w powieściach i politycznych pamfletach ujawniał się znacznie wcześniej, zanim Bernanos wziął pióro do ręki. Należał on do ludzi którzy niczego nie potrafili robić połowicznie, którzy uwierzywszy w słuszność jakiejś idei angażują się w nią całkowicie. Bernanos z równą żarliwością służył w swym życiu kilku obozom politycznym, a właściwie służył swojej wewnętrznej prawdzie sprężniętej z tymi lub innymi ludźmi. Ale naprawdę działa dopiero wtedy, gdy zostaje sam, co zresztą nie przeszkadza mu zmieniać opinii, gdy tylko przekonany jest o konieczności tej zmiany.

Sprawa Hiszpanii stanowi tu specjalnie jaskrawy przykład. Wewnętrzna uczciwość Bernanos’a nie znosi kompromisów, nie uznaje faktyki uważanej we wszelkich stosunkach między ludźmi za rzecz niezbędną, za cnotę. Idzie sam przeciw wszystkim i wszystkiemu, wierny swej tradycji Don Kichota i Cyrano de Bergerac, jak trafnie nie przeprowadza to porównanie Dobraczyński. Patrząc na młodość Bernanos’a, wydawać by się mogło, że „camelet lu roi” paradujący z burbońską liliją w butonierce, zaprzyjaźniony i związany programowo z najbardziej typowymi reprezentantami „Action Française” ma tylko jedną drogę przed sobą, tę samą, po której szedł Maurras i inni Bernanos jednak zrywa z „Action” i jej działaczami na długo przed tym, nim określi w pełni swe metody i polityczne cele. Autor „Pod słońcem szatana” swym przenikliwym wzrokiem potrafi dostrzec nader szybko gangrenę toczącą ruch monarchistyczny, ba — przewiduje ich ostateczną degrengoladę o blisko dwa dziesięcia lat wcześniej, niż potwierdzą to fakty i rzecz dziwna, Bernanos zdawałoby się, będący uosobieniem emocjonalnego podejścia do wszelkich zjawisk i wydarzeń, ten sam człowiek, którego pasja ponosi poza granice przyzwoitości języka — przedziwnie trzeźwo, bez cienia mąkacej, własne wyrażenia emocji umie dokonywać rozrachunku z rzeczywistością. Przez zwycięży resztki nacjonalistycznych



Georges Bernanos

podle ale tłumaczono; po wojnie wydano zaś starannie dwa wznowienia, poza tym kilkanaście artykułów przypominało tę postać w ostatnich latach na łamach prasy. O Bloy nie wie się jednak prawie nic, zna się tylko nazwisko, ani jedna z blisko czterdziestu jego książek nie została nigdy udostępniona polskiemu czytelnikowi. I trudno się zresztą temu dziwić, skoro dziesiątków lat trzeba było w oczyszczeniu pisarza, aby w długi czas, już po jego śmierci, rozładować zaciętą wrogą atmosferę milczenia, aby potrafić go rozumieć i ocenić. Toteż dobrze się stało, że napisano wreszcie książkę, której celem jest ukazanie obu tych pisarzy polskiemu czytelnikowi. Niewątpliwie eseje Dobraczyńskiego będą nie tylko wprowadzeniem w problematykę dzieł Bloy i Bernanos’a, nie tylko próbą zakreślenia duchowych sylwetek ich twórców na tle życiowych perypetii, lecz staną się zachętą do poznania ich dorobku i niewątpliwie przyczynią się do pogłębienia tej lektury.

„Gwałtownicy”

Tytuł ten nawet po przeczytaniu książki mógłby zostać fałszywie zrozumiany, gdyby nie umieszczone na wstępie motto, cytata z Ewangelii wg św. Mateusza: „*Królestwo niebieskie gwałt cierpi i gwałtownicy porywają je*”. O istocie duchowego pokrewieństwa Bloy i Bernanos’a pokrewieństwa, które uprawnia do umieszczenia ich pod wspólnym określeniem gwałtowników, nie stanowi burzliwy temperament, na którym obu im nie zbywało, podobnie jak nie uwierzytelniała

zła. Człowieka może cechować bezkompromisowość, może być skłócony ze swym bliższym i dalszym otoczeniem, z całym światem choćby, może wybuchać co chwila buntem przeciw temu, co go razi, ale zewnętrzne objawy gwałtowności nie wystarczą, by określić kogoś jako gwałtownika w tym sensie, w jakim terminu tego używa za Pismenów. Dobraczyński. O tym rozstrzyga źródło targających danych człowiekiem pasji, cel, który ów człowiek ma nieustannie przed oczyma i ku któremu zdąży ileż równie burzliwych charakterów wyladuje się na pozór w formach nader podobnych, w egoistycznych rozgrywkach mając za jedyny motor zachłanną i stale urażoną ambicję. I to na pewno nie są autentyczni gwałtownicy, ich nie można postawić w jednym szeregu z Bloy i Bernanosem.

OKRES historii, w którym przyszło żyć i pisać Leonowi Bloy, należy niewątpliwie do bardziej mrocznych epok dziejów ludzkości. Druga połowa ubiegłego wieku, na którą przypada jego młodość i wiek dojrzały, to przecież niezwykle bujny rozwój kapitalizmu wkraczającego już w etap imperializmu, osiągnącego coraz wyższy stopień degeneracji, coraz sprawniej narzucającego system pogłębiającej się niesprawiedliwości i wyzysku. A katolicy? Wtedy to przecież krystalizuje się ostatecznie typ burżuazyjnego katolika, by przetrwać aż do naszych dni. I wtedy właśnie w atmosferze zacieśniających się powiązań, tzw. prawomyślnych katolików z



Leon Bloy

sajającego swą treścią, opisywaną w nim materialną nędzą, zawziętą wrogością milczących głucho autorzytetów.

BERNANOS zapewne miał życie nieco łatwiejsze i gwałtowniejsze, był raczej w innym troche, choć na pewno nie gorszym stylu. Zresztą droga została już utworzona przez Bloy Péguy, Osichari, Renana. Bernanos zjawiał się w literaturze w momencie, gdy powieść katolicka zaczęła przeżywać we Francji swój renesans, bar-

głęboko tkwiących w nim tradycji, gdy przyjdzie zetknąć mu się z reżimem Franco i odtąd do końca życia będzie głosił prawdę o wojnie domowej w Hiszpanii i odsłaniał wszystkie potworności zakłamanego dyktatury „caudilla”. Niewiele ludzi zdobyło się na podobny stanowczy protest w Monachium, jak Bernanos. O swym

*) Tak nazywano działaczy „Action Française”.

(Dokończenie na str. 7)

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (21)

Z DZIEJÓW ZWYCIĘSKIEJ GENERACJI

WRACAJĄC po dłuższej przerwie i poważniejszych wahaniach do pracy nad analizowaniem problemów współczesności odbijających się w zamglonym zwierciadle literatury. wracając do próby bilansowania czy też tylko przygotowania materiałów dla bilansu polskich doświadczeń kulturalnych, gromadzonych przez literaturę współczesną, wiedziałem, że nowy etap pracy najlepiej zacząć od zetknięcia z pasjonującym, twórczym konkretem, z książką, która prowokuje do mówienia głosem podniesionym i zachęca do pisania, będącego już nie tylko koniecznością zewnętrzną, ale i wewnętrzną potrzebą.

Polska literatura powojenna jako ciągle narastający proces wielkiej i istotnej przemiany społeczno-politycznej i kulturalnej jest zjawiskiem o niesłychanej dynamice, zjawiskiem historycznym, które nawet dla zasuszonego w niezdrowym, źle pojmowanym abstrakcjonizmie teoretyka sztuki musi być przedmiotem pasjonujących badań, a dla ludzi uczestniczących konkretnie w toku rewolucyjnych przeobrażeń staje się bóstwem, porywającym w swój wir nurtem ogromnej rzeki czasu, ujmowanej w ryzy świadomej woli organizowania lepszego jutra sprawiedliwości i równości społecznej. Te duże słowa określają — w moim rozumieniu — w sposób nie hiperboliczny istotność i ważkość, wielkość i nowatorstwo współczesnych prądów i kierunków literatury powojennej nie tylko w Polsce, ale i na coraz większych przestrzeniach naszego świata. Przypominanie tego sobie i innym powinno zapobiec szkodliwemu, zacierananiu perspektyw, myleniu skali, przeoczeniu monumentalności dziejącego się procesu. Ważkość tego procesu, jego porywającą wielkość historyczną ocenić można i uchwycić tylko niejako „z profilu” czy też z lotu ptaka tylko w ujęciu całościowym jest on czymś wielkim, tylko w bilansie, choćby przedwczesnym, występuje jego pasjonująca i angażująca w pełni złożoność, przeźroczliwość i heroicność.

Polska literatura powojenna widziana z bliska, twarzą w twarz, w codziennym kontakcie, w wymiarach indywidualnych poczynań czy grupowych zrywów nie dość często przypomina o swojej wielkiej misji, o swojej historycznej rewelacyjności. Szczerzej: funkcję wielu, bardzo wielu utworów nobilituje tylko fakt uczestnictwa w ogólnym procesie wielkiej przemiany, wiele powieści, poematów czy innych utworów tzw. literatury pięknej zapisuje się tylko wrażeniem miernej poprawności, tylko ilościowym zubożeniem doświadczenia kulturalnego, a nie jakościowym pogłębieniem jego poznawczo-artystycznych treści.

Postawmy sprawę jasno: wielka rola powojennej literatury polskiej, zaszczytna i ogromnie istotna jej funkcja w dziele przeobrażenia narodu, to wszystko co czyni ją nie tylko pasjonującym widowiskiem, pasjonującą lunetą, przybliżającą przyszłość, ale przede wszystkim ważkim procesem historycznym wynika genetycznie ze zmiany układu stosunków polityczno-społecznych. Literatura powojenna angażuje pełnię zainteresowań dzięki swojej historycznej misji, która nie jest zasługą literatury, lecz zadaniem literatury naszych dni. Konieczne stwierdzenie dysproporcji między atrakcyjnością literatury ujmowanej całościowo jako określonego swym celem przebiegu historycznego, a małą i rzadką atrakcyjnością większości dzieł rozpatrywanych indywidualnie jest nieczym innym, jak stwierdzeniem stanu faktycznego, domagającego się poprawy. Nie bardziej nie przeszkadza

w poprawieniu błędów lub odrabianiu zaległości, jak umniejszanie błędów lub tuszowanie niedociągnięć. Każda krytyka, która nie ucieka w wygodną kokietliwość klerków flirtujących z rzeczywistością, każda krytyka, którą mobilizuje i angażuje zrozumienie wielkości przemiany, jaka zadana jest literaturze, każda krytyka, choćby wyrastająca z odmiennych założeń filozoficznych, niż założenia, warunkujące jej przedmiot — służyć może i powinna wspólnemu celowi historycznemu, zarezerwowawszy sobie w ocenie jego ostateczności teleologicznych własne zdanie.

Tak pojmującego swoje zadania i uprawiania krytyka kuszą nie tylko wyraziste w swojej błędności ideowej czy artystycznej utwory, które skłonny jest wykorzystywać jako „przykłady negatywne”, ale przede wszystkim wabią go ku sobie te dzieła, w których dostrzega zwycięską walkę pisarza z oporem materiału, zwycięskie przekroczenie miary buchalteryjno-kronikarskiej poprawności, będącej dla zbyt wielu miarą ostatecznego triumfu ideowo-artystycznej walki o jakość.

Nie jest rzeczą przypadku, że w chwili, gdy pokazuje się na witry-

nach księgarskich książka o bardziej indywidualnym charakterze, o większym ładunku ideowo-artystycznych wartości, o większej żarliwości i większej wnikliwości w oglądaniu świata — wśród krytyków powstaje radosne podniecenie. Książka taka staje się bowiem — prawem kontrastu — wyrazistym potwierdzeniem możliwości literatury demonstrowanych nawet dziełem indywidualnego wysiłku, pasji czy talentu. Oczywiście, w tym radosnym podnieceniu łatwo o przesadę czy pomieszenie proporcji, łatwo o jednostronność czy truzimowe uproszczenie zjawiska, ale sama atmosfera stanowi jeden z najzdrowszych elementów życia literackiego.

Książką, która ostatnio spełnia rolę tak przyjemną i pożyteczną, jest nowo wydana powieść Bohdana Czeszki*). Wystarczy przejrzeć numery czasopism literackich, posłuchać dyskusji i odnotować przejawy wzrastającego zainteresowania, aby stwierdzić, że w odbiorze społecznym „Pokolenie” stanęło w rzędzie tzw. wydarzeń kulturalnych.

*) Bohdan Czeszko: „Pokolenie”, Czytelnik 1951, red. Helena Wilczkowska, str. 247.

Prośba



Piotr Bruegel — Taniec chłopski

PIETRZE Breughelu, dobry Pietrze Breughelu, namaluj: miasteczko, które zaczyna się od stromych dachów, wyłożonych gontem ciepłym jak skóra domowego chleba. Do tych dachów pnie się zakochany chmiel, ale nie dojdzie, utknie po drodze w otworze okiennicy w kształcie serca.

Uliczki mają być kręte, mury żółte, okna niebieskie a szyby migdałowe, o takie, jakby to one pierusze przed wszystkimi dostrzegły zachód.

A teraz skoro już mamy wszystko, nawet kościelną wieżę, gdzie kwitnie dzwon wśród puszystej patyny i mechów, teraz o mieszkańcach pora pomyśleć. Weź w obie dłonie tłum: dzieci piszące jak białe myszki, kobiety o szpiczastych łokciach i brzydkich uszach, chłopów z twarzami opilców, ojców z dostojnym fioletem na nosie. Dalej trochę przyglupków, linoskoków, ładacznic, żebraka z krwawą japońską kaleką z twarzą niewidomą jak lilia. Zaczepnij ich i zanim wypuścisz na ulicę, mieszaj długo w obu dłoniach jak kostki do gry, i spraw aby widać było, że się śpiesz. Ta z gęsią na targ, ów z pugińdem w rękawie, którym poderżnie bogatego wuja, ten do astrologa, który w nocy czyta gwiazdy, a w dzień warzy piwo, a pan burmistrz po prostu do żony, na obiad. A pokaż to tak, aby krok pana burmistrza był równie ważny jak

truchcik psa, który właśnie ucieka ze skradzioną kocią (nie zapomnij, na Boga, nie zapomnij Pietrze Breughelu, o ognie psa, który musi być zakrecony, gdyż pies ów mimo złych warunków materialnych ma charakter zrównoważony i pogodny i jest jedynym filozofem w promieniu siedmiu mil).

Miasteczko niech się wola Harlem. No, teraz już można w nim mieszkać, ale to nie wszystko, trzeba jeszcze rozkołysać krajobraz jak wodę daleko, bardzo daleko, postaw góry przezrocyste, jak siny kamień. Na szczycie największej — zamek jak grzebień, co za chwilę wysłiżnie się z włosów a nad tym wszystkim niebo zielone i kwaśne, aha, jeszcze drzewa, oczywiście, jakżeby krajobraz bez drzew, każda gałązka wykaligrafowana na podłożonej kartce nieba, każdy liściek dokładnie jak w zielniku.

Pomiędzy drzewami latają dwa drozdy, nie latają — tkwią, gdyby ruszyły choć piórkiem — runąłby cały ten świat.

Na tym drzewie najbliższym, na tym drzewie najwyższym, suchy strak, niedojrzały owoc — wisielec. Za życia był bardzo ponury, ale teraz śmieje się do rozpuku, gdy wiatr, wesóły wiatr, łaskocze go w pięty.

Patryk

MĄDROŚĆ FAKTÓW

DEBIUT powieściowy Bohdana Czeszki (bowiem opowiadania zebrane w tomiku pt. „Początek edukacji” były tylko ciekawym badaniem własnych możliwości nowelistycznych) zasługuje w pełni na przyznane mu przez nieoficjalną akłamację wyróżnienie. Książki tej po przeczytaniu nie odkłada się na półkę, gdzie na próżno tęskni do powtórnego lektury szereg powieści powojennych, lecz stawia się ją na półce najwyższej, zarezerwowanej dla najlepszych polskich powojennych powieści, do których wracać każe nie tylko zawodowa potrzeba konfrontacji czy przypomnień lecz zwykła chęć kontaktu z dziełem rzetelnym i na swój sposób odkrywczym, z dziełem, z bogactwem naszą wiedzę o świecie i rozszerzającym skalę naszych doznań artystycznych.

Jakie są obiektywne wyznaczniki, jakie motywy i jakie wartości ideowo-artystyczne decydujące o randze osiągnięcia Czeszki?

Na pewno wielką rolę odgrywa tu odwaga w wyborze tematu i zajęciu wobec niego szalenie trudnej do konsekwentnego utrzymania postawy. Autor „Pokolenia” pokusił się o przedstawienie procesu dojrzewania

określonej generacji określonej klasy w określonych warunkach historycznych. Monografia beletrystyczna młodzieży robotniczej dojrzewającej w walce z okupantem i w walce o konkretne ideały społeczne potraktowana została z zacięciem i ambicją epicką dużej skali. Czeszko dąży do syntezy, do ukazania w świetle indywidualnych losów ludzkich procesu krystalizowania się zbiorowości, świadomej swoich zadań i perspektyw. Oczywiście, trzeba było przy takim ambitnym zamierzeniu stać na straży właściwych proporcji, zachowywać konieczny dystans, który nie może oddalać od przedmiotu, ale też i nie może w nadmiernym zbliżeniu zacierać czy wypaczać jego konturów. Jednocześnie trzeba było wypracować w sobie taką zdolność operowania skrótem, która nie pozwoliłaby na uproszczenia, ratując przed dezintegrującym widzeniem całości. Ta specjalnie zobowiązująca do czujności ideowo-artystycznej postawa nadała dziełu cechę skupionej dojrzałości, która w odbiorze ostatecznego kształtu dzieła uczestniczy jako walor niemal rozstrzygający.

Na pewno współgrał z nim czynnik indywidualnych uzdolnień pisarskich Bohdana Czeszki. Jego typ wyobraźni, jego stopień wrażliwości plastycznej, jego osobiste predyspozycje skojarzeniowo-wizualne, cały ładunek oryginalnych możliwości manifestowania malarskiej chwytliwości wszelkich odcieni, barw, wypukłości i szorstkości zmysłowo postrzegalnej istoty rzeczy i zjawisk — wszystko to wtopiło się w dzieło, nadając tylko jemu właściwy koloryt, intensywność, bezpretensjonalną realność prawdomównej relacji. Te indywidualne cechy osobowości pisarskiej Czeszki, które — sprowadzone do specyfiki stylu — domagają się takich określeń metaforycznych jak: jedność, trójwymiarowość lub po prostu — miąższ literacki stanowią niewątpliwą substancję dzieła, ale nie wyjaśniają go bez reszty. Są niezbadanym elementem, algebraiczna niewiadoma. Wiemy, że jest, ale nie wiemy skąd i dlaczego. Nie wolno jej jednak lekceważyć.

Ale ani wybór tematu i postawy wobec niego, ani drapieżny talent autora „Pokolenia”, nasycający powieść aurą intensywnego realizmu, nie decydują o wartościach książki samodzielnie i ostatecznie. Siłą organizującą ją w zwarta całość i stanowiącą podstawę każdego zabiegu artystycznego, każdej sugestii ideowej jest to, co chciałbym na użytek tego artykułu nazwać mądrością faktów.

Na czym ta mądrość polega? Mówiąc po prostu: na realistycznej metodzie poznawczej, na maksymalnym uempirycznieniu procesu opisywania i oceniania rzeczywistości. Ów realizm poznawczy, oparty na szacunku dla obowiązującej mocy obiektywnie istniejących faktów, nie jest oczywiście wynalazkiem Czeszki. Czeszko mądrością faktów, mądrością ustalenia bazy poznania w empirycznie sprawdzalnych związkach między rzeczami nauczył się od życia i od marksizmu. Inni tego samego szacunku dla faktów mogą się nauczyć z życia i z tomizmu. W obydwu wypadkach najistotniejszą rzeczą dla artysty jest umieć mądrość faktów wpoić swemu dziełu. Znaczący to tyle co: wiedzę o człowieku wypowiedaną w dziele literackim wprowadzać z faktów i obiektywizować faktami. Zdawałoby się, że nie naturalniejszego i nie prostszego. A przecież to punkt węzłowy i punkt niewrażliwy wszystkich niemal poczynań pisarzy, którzy swój realizm wywodzą czy to z marksizmu, czy z tomizmu, ale jednakowo meczą się z zastosowaniem go w konkretnie utworu artystycznego.

(Dokończenie na str. 6)

Z DZIEJÓW ZWYCIĘSKIEJ GENERACJI

Ileż klęsk, ileż nadszyc i niepowodzeń wynikało z nieumiejętności wpojenia swemu dziełu mądrości faktów! Te nieumiejętności zawsze poznawaliśmy po wszystkich naleciałościach i ujemnych konsekwencjach aprioryzmu. Nie fakty tłumaczyły człowieka, nie fakty ustalały w dziele wiedzę o człowieku, ale na odwrót: człowiek tłumaczył fakty, człowiek w mechaniczny — siłą rzeczy — sposób ustalał wiedzę o faktach. Stąd właśnie wiodło tysiąc manowców ku tekturowym postaciom, ku automatyzmowi, ku dętej moralistyce, ku lamaancom psychologicznym i wszelkim schematyzmom.

Czeszko uchronił w swoim dziele mądrość faktów. Fakty stanowią punkt wyjścia w ustalaniu naszej wiedzy o jego bohaterach, o ich konfliktach, o ich życiu. Ta zasada trudnego do zachowania w działaniu artystycznym realizmu w metodzie poznawania czy ukazywania rzeczywistości i ludzi w niej uczestniczących jest głównym walorem, głównym źródłem siły młodego pisarza w jego zmaganiach z oporem materiału. Dopiero ta zasada tłumaczy w połączeniu z pozostałymi czynnikami jego osiągnięcia. Dialektyczna, wewnętrzna zależność tych czynników wyjaśnia jego złożoną strukturę. Od prawidłowości współdziałania tych czynników uzależnione są wszystkie walory i wszystkie słabości „Pokolenia“. Dlatego uważam za konieczne podkreślenie przede wszystkim mądrości faktów, która jako punkt wyjścia wspólna

USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARZY

(Dokończenie ze str. 3)

Z punktu widzenia rozwoju form społeczno-gospodarczych wyrażamy pogląd, niejednokrotnie też reprezentowany na łamach naszych pism, że ustrój socjalistyczny jest ustrojem postępowym, najbardziej sprawnym, ponieważ stwarza warunki dla maksymalnego wzrostu dochodu narodowego i sprawiedliwego jego podziału.

Z punktu widzenia polskiej racji stanu twierdzimy nadal, z najgłębszym przekonaniem, że ustrój realizowany w Polsce, ustrój stający się socjalistycznym jest najkorzystniejszym dla realizacji postulatów współczesnej polskiej racji stanu. Tylko ten ustrój pozwala na uprzemysłowienie kraju, a zatem na uprzywilejowanie podstawowego warunku niepodległości i suwerenności narodu. Wyraźne powiązanie w projekcie Konstytucji tych podstawowych dla narodu wartości z ustrojem społeczno-gospodarczym zawartym w projekcie powinno być decydującym czynnikiem o stosunku do przygotowywanej Konstytucji.

Konstanty Lubiński

SPÓSOBOWANIE

W artykule Konstantego Lubińskiego pt. „Ustrój Socjalistyczny-Gospodarczy“ zamieszczony w Nr 9, z dnia 2 marca w zakończeniu wydrukowano:

„Podstawą tej kapitalistycznej konstrukcji własności jest pogląd uznający prawo własności prywatnej jako stosunek między ludźmi ze względu na rzecz, a więc nie jako stosunek społeczny.“

POWINNO NATOMIAST BYĆ: Podstawą tej kapitalistycznej konstrukcji własności jest pogląd uznający prawo własności prywatnej jako stosunek właściciela do rzeczy, nie zaś jako stosunek pomiędzy ludźmi ze względu na rzecz, a więc nie jako stosunek społeczny.“

szp. 4 wiersz 8 od dołu wydrukowano: socjalistyczny system własności

POWINNO BYĆ: socjalistyczny system społeczny

szp. 2 wiersz 21 od dołu wydrukowano: system urządzeń społecznych

POWINNO BYĆ: system socjalny.

być powinna wszystkim, chociaż w zależności od tego czy źródła jej będziemy szukali w „Kapitale“, czy w „Summie Teologicznej“ — do innych będzie wiodła punktów dojścia.

Ocalona przez Bohdana Czeszko mądrość faktów musiała dziełu jego nadać konkretne walory, tak jak wszelkie rozluźnienia rygorów czujności musiały książkę narazić na skazy i niedociągnięcia.

ZWYCIĘSTWA UMIARU EPICKIEGO

RESPEKT dla faktu jako wyjściowego punktu opisu i oceny rzeczywistości pozwolił Czeszko na odcięcie się od niebezpieczeństw makietowości jego postaci, uczynił je konkretnymi ilustracjami określonej konstrukcji losu, nadał im cechy odrębnych, a jednocześnie typowych zjawisk socjologiczno-psychologicznych, a przy tym nie zagubił ich człowieczeństwa, ich normalności, co na tle dotychczasowych zwyczajów jest zjawiskiem raczej rzadkim.

Czołowe postaci „Pokolenia“ a przede wszystkim Stach, przekonują ją do siebie prawidłowością swoich procesów wewnętrznych i zachowań się zewnętrznych, przekonują tym, że między tymi dwoma zakresami nie ma luk, zapychanych komentarzem odautorskim, nie ma potrzeby przyomykania oczu na dysproporcje, jakie najczęściej zdradzają papierowość ludzi, których funkcja w powieści wynika z apriorycznego założenia autora, a nie z istotnego układu sytuacji i sił przedstawionych w utworze. Oczywiście, nie kryje się w tym stwierdzeniu fałszywa sugestia, że Stach dojrzewa niejako niezależnie od Czeszki, że Czeszko tylko rejestruje obiektywny proces cudzej przemiany czy ewolucji. Na pewno w tej przemianie uczestniczy tendencja autora, ale zobiektywizowała się ona w epickim umiarze, w konieczności argumentowania zjawisk socjologicznych życiem psychologicznym bohaterów i odwrotnie — w konieczności ukazywania uwarunkowań przeżyć psychologicznych określoną sytuacją socjologiczną, polityczną, czy mówiąc ogólnie: tzw. kontekstem wydarzeń historycznych.

Czeszko-epik nie jest bezstronnym obserwatorem działającej się historii, jest pisarzem usiłującym wskazać i określić w swojej ocenie ideowej prawa rządzące historią. Tłumaczy tę wielką ambicję epicką na język realnego przedstawienia losu kilku czy kilkunastu dla niego typowych postaci, a rolę tych postaci i stopień jego zainteresowania epickiego dla nich ustala, oczywiście, postawa ideowa pisarza, hierarchia wartości, którą w oparciu o swój pogląd na świat przyjął za słuszną.

Temu epickiemu spojrzeniu powieść zawdzięcza nie tylko prawdziwy rysunek postaci, lecz także walory pochodne, a więc i wielki realizm sytuacyjny, i naturalność dialogów, i właściwe proporcje między pierwszym i drugim planem utworu, i wielki ładunek żarliwości ideowej. W ostatecznym wyniku składa się to wszystko na utwór zdecydowanie przemawiający do czytelnika swoją namiętną, choć w mądrej epickości utajoną, ambicją przekazania możliwie pełnej i zobowiązującej wiedzy o przedmiocie.

Zintensyfikowaniu tej siły utworu pomogły „przyrodzone“ cechy talentu pisarskiego Bohdana Czeszki. Jego drapieżna chłonność, wielka wrażliwość wizualna, łatwość operowania cełnym, bezpretensjonalnym skrótem zdaniowym, dynamiczność opisu, mięistość leksyki, wreszcie duża rzutliwość i prężność prozatorskiej metafory w połączeniu z rzadką inwencją zdrowego „naturalizowania“ (to znaczy: czujnego unikania wszystkiego co brzydko pachnie sztafażem i konwencjonalizmem literackim) czynią

(Dokończenie ze str. 5)

stworzoną przez niego wizję świata i człowieka niezwykle plastyczną i prawie w pełni trójwymiarową.

Obraz oparty na takich założeniach i na takich możliwościach indywidualnych twórcy jest obrazem z bogactwem naszego widzenia rzeczywistości, a tym samym obrazem wartościowym i zasługującym na uznanie. Książka Bohdana Czeszki pozostanie na pewno wśród niewielu książek, którym dane będzie przekazać historii opis przeżyć narodu w czasie ostatniej wojny. Książka Czeszki zawiera w sobie tak duży ładunek prawdy tamtego czasu, zawiera w sobie tyle elementów wiernie uchwyconego procesu dziejowego, że już dzisiaj — bez obawy o przysporzenie jednego fałszywego prorocstwa więcej — wróżyć jej można istotną funkcję nie tylko literacką, ale także historyczno-literacką.

W obrazie tym jest i patos odpowiadający wymiarom patosowi tamtych wydarzeń (aby przypomnieć wielką, niemal alegoryczną chwilę, w której Dawid maluje swój tragiczny fresk), jest także pierwiastek wręcz makabryczny, również odpowiadający prawdzie zezwierzczenia wielu ludzi (tu przypomina się przede wszystkim spotkanie Stacha z Kostkiem, który dźwigał worek uciętych głów, „bo za dużo roboty z wotywaniami zębów“). Jest wreszcie w wielu partiach powieści ładunek humoru czy gorzkiej ironii, która była i orężem ataku i tarczą samoobrony. Wszystko to zestrojone w całość o ambicjach niemal panoramicznych.

Uznać trzeba za rzecz niewątpliwą, że całość ta zawiera zasadniczą prawdę historyczną minionej wojny. Ukazuje i walkę z najeźdźcą, i siły krystalizujące w młodzieży robotniczej świadomość walki klasowej, i kierunek obiektywnych przemian struktury społecznej, układu kierunków ideowych w Polsce przedwrześniowej.

PRZYŚPIESZENIE EPICKIE

ZREALIZOWANIE tak wielkiego zadania pisarskiego łączyło się z ogromnymi niebezpieczeństwami, których czasami wprost nie sposób uniknąć. Obejmując zamierzeniem epickim tak rozległy szmat historii tak napęczniałej złożonością faktów musiał pisarz operować skrótami. Techniczna konieczność nie zawsze prowadzi do zafalszowania proporcji czy naruszenia zasady mądrości faktów. Czeszko był niesłuchanie czujny i ostrożny. Operował skrótem w sposób konsekwentny i logiczny. Nadał swojej relacji luźną formę kompozycyjną, przeprowadził odważną eliminację elementów wtórnych, nader ekonomicznie gospodarował ładunkiem emocjonalnym swojej powieści. Każdy przyzna, że pomogło to całoci w wielu trudnych punktach. Całość jest żywa, wartka, pełna dynamizmu. Postaci — wbrew temu, co na ogół na ten temat mówiono — rysują się z wyrazistością ostro wykreślonych konturów. Patos skondensowany jest niemal w ekstrakt czystego wzruszenia. Wystarczy przyjrzeć się kilkakrotnym opisom tragicznych śmierci, żadnego spoufalenia z jej grozą. Makiem lojalności wobec surowości prawdziwego przebiegu. Czasami wygląda to wręcz na wstydlivość uczucia, która wolimy zaakceptować, niż namawiać do sztucznej heroizacji czy przeżytych już „remarkizmów“.

Są jednak obok tych wielu zalet błędy wynikłe z niedostatecznej czujności autora wobec ogromu zadania.

Błędy te wynikają z widocznego przyśpieszenia epickiego. Przyśpie-

szaniem epickim nazywam u Bohdana Czeszki nie tylko zmniejszenie rytmu narracji, nie tylko widoczne jej przynaglenie w końcowych partiach książki, będących relacją o powstaniu warszawskim, ale przede wszystkim pewien wyraźny pośpiech w zamknięciu obrazu, w nadaniu mu określonego kształtu i kolorytu, pośpiech powodujący i zbyt szybkie uogólnienia i zbyt gwałtowne ewolucje. Tu jakoś autor zmylony został przez natrętny aprioryzm, którego nie dopuszczał do siebie w trakcie dokonywania opisu i oceny zjawisk, ale który przekradł się do jego dzieła w momencie dokonywania selekcji, w momencie ustalania proporcji ważności poszczególnych osób. Oczywiście, odbiło się to ujemnie na rzetelności ich potraktowania, a co za tym idzie spłycało analizę i opis problemów, które tymi postaciami były ilustrowane.

Na przykład w sposób gruntowniejszy epik przedstawić powinien, jeśli już uznał za słusne te sprawy poruszane, funkcję i udział duchowieństwa, czy w ogóle problem religijny w życiu narodu. Nie załatwia sprawy jeden głupi mnich, trzeba umieć pamiętać, że nie musi on być zjawiskiem typowym, że ośmieszyć indywidualny wypadek, choćby i prawdziwy, to dla dzieła o ambicjach epickich, dla dzieła prawdziwie rzetelnego stanowczo za mało.

Naturalnie, nie ma sensu utrzymywać, że uproszczenia czy rozminięcia się ze słusznym postulatami ty powości wynikały ot, z przyspieszenia rytmu narracji czy niecierpliwości autora. Raczej przyjąć należy, że owo przyspieszenie epickie stanowi artystyczną reperkusję pewnego — mimo wszystko — wkradającego się do „Pokolenia“ aprioryzmu. I dlatego przede wszystkim zwracamy na to uwagę. Nie jest to jednak w książce problem czy temat zasadniczy i dla świadomego czytelnika, to znaczy dla czytelnika, który potrafił sobie postawą autora wyjaśnić wskazane tu przykładowo konsekwencje przyśpieszenia epickiego, pozostanie książka tym, czym jest: jedną z najciekawszych kronik artystycznych dojrzewania w czasie wojny młodego pokolenia bojowników o wolność, równość i sprawiedliwość w naszym kraju.

TECHNIKA PISARSKO-REŻYSERSKA

ARTYSTYCZNA kronika procesu dojrzewania określonej generacji historycznej zawdzięcza swą żywość, barwność i bogactwo nie tylko walorom tematu „samego w sobie“, nie tylko właściwej postawie realistycznego liczenia się z faktami, nie tylko talentowi autora, ale także swoistej technice, jaka pisarz odważył się w swojej powieści zastosować. Wydaje mi się, że jest to technika wiele zawdzięczająca ostatnim osiągnięciom sztuki filmowej. Gdyby ja ktoś teoretyk chciał w przyszłości napisać niewątpliwie ciekawą pracę o wpływie filmu na literaturę, „Pokolenie“ byłoby dla niego wielkim arsenalem przykładów

Filmowość powieści Czeszki (przy czym nie rozumiem przez to określenie ekranizacji, to znaczy zespołu cech sprzyjających sfilmowaniu „Pokolenia“, ale po prostu podobieństwo chwytów technicznych) polega przede wszystkim na zastosowaniu specjalnej zasady kompozycyjnej, która odpowiada mniej więcej pojęciu montażu. Zestawienie pozornie odrębnych od siebie, a ciężących ku sobie kompozycyjnie części wydobywa ich pełną dynamikę, a całości nadaje zmienność, zależną od montażysty rytm.

Bohdan Czeszko zbudował swoją powieść w ten sposób, że krótkie sceny przeplatają się nawzajem, oczywiście, według klucza autorskiego, który pragnie przed każdą częścią, przed każdą sceną otworzyć jak najgłębsze perspektywy wzruszeniowe, jednocześnie wplatając ją w ogólny rytm narracji. Myślę, że ten chwyt, rozbijający niejako statyczną całość dzieła literackiego, może się okazać na terenie powieści polskiej cennym novum. Jedno jest pewne: w powieści Czeszki funkcjonuje sprawnie, nadając jej porywisty rytm, wzmagając jej barwność i trójwymiarowość.

Oczywiście, z tym filmowym chwytem łączą się poważne niebezpieczeństwa. Główne niebezpieczeństwo polega na zwiększeniu pokusy łatwego uogólniania i łatwego podnoszenia sytuacji nietypowych do rangi symbolu. O to niebezpieczeństwo zaważił autor „Pokolenia“. Inne niebezpieczeństwo polega na łatwej skłonności ku dezintegracji, ku rozluźnieniu lub zgubieniu się w opisie elementów, niepodporządkowanych naczelnej zasadzie organizacyjnej. Te go niebezpieczeństwa Czeszko uniknął. Wreszcie trzecie — innego rzędu — każe się zastanowić nad funkcją społeczną takiego chwytu. Znany teoretyk filmu Bela Balazs w jednej ze swoich książek opowiada o wrażeniu jakie na niewyrobionym widzu zrobił zastosowany po raz pierwszy przez Griffitha chwyt wyodrębnienia przez specjalne ustawienie kamery tzw. detalu, to znaczy po prostu pokazanie na ekranie samej głowy aktora, jego oczu, czy rąk. Widzowie przerażeni byli okrucieństwem, które polegało na tym, że reżyser odrąbał na pewno głowę i fotografował, odrąbał rękę i fotografował. Każda nowa sztuka czy każdy nowy chwyt wymaga pewnego z nim obicia. Zwłaszcza jeśli jest to chwyt filmowy w wydaniu literackim. I Czeszko może się zdarzyć, że go ktoś oskarży, iż u niego wszystko pokręcone. Tu Warszawa, a dwa wiersze niżej — już obóz koncentracyjny i znowu jakieś miasto...

Ale nie powinno to odstraszać od z bogactwa techniki pisarskiej nowy mi sposobami ukazywania świata. Najważniejsze, żeby mieć ten świat widzieć. Czeszko umie. Najważniejsze, żeby go w sposób odkrywczy pokazywać i umieć swoją pasję ideową tłumaczyć na język plastycznej wizji artystycznej. Czeszko umie. Dlatego jego drogę pisarską od „Początku edukacji“ poprzez „Pokolenie“ ku nowym jeszcze lepszym książkom śledzić wypada i baczenie i surowo, ale w równym stopniu przyjaźnie.

Zygmunt Lichniak

„LISTY NIKODEMA“

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ukazały się nakładem

INS. WYD. „PAX“ WARSZAWA

Zamówienia prosimy kierować do
BIURA SPRZEDAŻY, WARSZAWA MOKOTOWSKA 43
KONTO P.K.O. 1-8515. Cena zł. 36.—

WŚRÓD KSIĄŻEK

Opowiadania A. Tolstoja

JESLIBY twórczość Aleksego Tolstoja, wielkiego pisarza radzieckiego, przyrównać do znanych arcydzieł muzyki klasycznej, to np. „Obrona Carycyna” zadźwięczy jak uwertura „Egmont” Beethovena, wspaniała trylogia „Droga przez mękę” będzie w sobie miała coś z jego symfonii, natomiast liczne opowiadania skojarzają się nam przypuszczalnie z chopinowskimi scherzami. Scherzo w muzyce jest to w zasadzie krótki utwór o lekkiej formie, wyrażający uczucie pogodno-żartobliwe. Tak było przed Chopinem. Chopin uczynił scherzo utworem szczególnego rodzaju. Zostawił mu jego lekkość, doświadczenie, ale napisał nową treść. Mocą jego geniuszu ta niefrasobliwa dotąd frazka muzyczna, nie tracąc nic z lekkości swej formy, stała się utworem jak najbardziej poważnym, traktującym o cierpieniu duszy ludzkiej, o sprawach życia i śmierci.

Czytelnicy darują mi tę muzykologiczną dygresję, ale — mutatis mutandis — podobnie rzecz się ma z opowiadaniem Tolstoja. Przy swej lekkiej formie, zawierając ogromny ładunek humoru i sytuacyjno-werbalnego, w konkluzji wyrażając tragizm i beznadziejność skazanych na zagładę, wybrakowanych przez historię istnień ludzkich, jak to się dzieje np. w opowiadaniu „Rękopis znaleziony pod łóżkiem”, albo mówią o smutnych konsekwencjach, wynikających z uganiania się za mrzonkami („Hrabia Cagliostro”), czy wreszcie wydobywając z zakamarków czasu panoptyczne okazy małego kalibru feudalnych tyranów w rodzaju Miskuzi Natymowa Płynne, potoczyste, uczesane scherza-opowiadania Tolstoja wpadają same do ucha słuchacza, budzą naturalną wesołość z niefortunnym poczynań tragicomicznych typów i typków. Z chwilą jednakże, gdy zabrmi ostatnie słowo narracji autora, jak rzucony w przestrzeń lukiem fermy ostatni ton scherza — wówczas beztróskie zadowolenie czytelnika, wynikające z opisów ekscentrycznych przygód, zmienia się w głęboką refleksję. Nad przedstawioną epoką, nad właściwym obliczem moralnym uciesznym na pozór postaci. Bo i któż to jest właściwie ten Siemion Iwanowicz bohater opowiadania pt. „Przygody Niewzorowa czyli Ibius”? *

Do czasu rewolucji był małym urzędnikiem, bez żadnych aspiracji, bez żadnych cech szczególnych, czyli — jak mówi autor — „ani blondyn ani szatyn, po prostu taki z oficyny, z ulicy Mieszczańskiej”. Z powodu wzięcia z łowia omiął go front i nigdy by się nie w jego życiu nie zmieniło, gdyby nie rewolucja. Gdy na ulicach Petersburga rozległy się pierwsze krzyki, Siemion Iwanowicz wstąpił w krainę przygód, przekraczających jego najśmielsze marzenia. Zaczęło się od tego, że w jego skromnym kawalerskim pokójku skryła się prześladowana przez „motłoch” arystokratka Niewzorow przyjął ją oczywiście z otwartymi ramionami, jako zapowiedź niezwykłej odmiany losu, którą miał przyobieczać w swoim czasie przez wrótkę i rzeczywistość. Od tej chwili wypadki potoczyły się szybko. Niewzorow stał się bogaty dzięki pieniądзом zamordowanego przez zbrojnych antykwariusza. Bogactwo daje, jak wiadomo, swobodę ruchów i możliwość nabycia tytułu hrabiowskiego, jak również wybranie sobie odpowiedniej, do swej nowej pozycji przyjaciółki. Wprawdzie przyjaciółka jest kokainistką i forsą „hrabięgo” nagle się rozplywa, ale to nic. Los szykuje dalsze niespodzianki i możliwości. Zanim Niewzorow zostanie skarbnikiem bandy atamana Anioła, kupuje jeszcze na Ukrainie dobra ziemskie (wprawdzie dwór jest spalony, ale co majątek, to majątek). Po rozgromieniu bandy Niewzorow zostaje właścicielem pokaznych rozmiarów kuferka z nader atrakcyjną zawartością. Ach czegoż w nim nie było! No ale fortuna kołem

się toczy. Trzeba się znów pożegnać ze skarbem, potem przychodzi ciężkie przejście ewakuacyjne w Odessie, nawet niesprawiedliwe podejrzenie o szpiegostwo, wreszcie bajeczna kariera w Konstantynopolu, złotodajna impreza — „wyścig karaluchów”.

B A WI nas ten Niewzorow, ucieśniony niebieski ptaszek, beztróskko bujający się na fali rewolucyjnego potopu... Ale kiedy autor przerywa nagłe opis tych niemal fantastycznych przygód i powiada: „Siemion Iwanowicz jest nieśmiertelny... Zylały wytrzymały, twarde, na pewno za każdym razem wygrzebie się z biedy i znowu — siadaj i opisuj jego przygody...” — to jest to właśnie ów ostatni ton scherza, po którym każdy już uświadamia sobie, jakiego rodzaju był to człowiek, bez kości moralnego, bez skrupułów, wstrętnej ludzka hiena, żerująca na najcięższym okresie przelomu, nie związany z żadną ojczyzną, hołdujący całym swym marnym istnieniem niskiej zasadzie „Ibi patria, ubi bene”. Ale dlaczego „nieśmiertelny”? Przypomnijmy okres okupacji, przypomnijmy najcięższe chwile po wojnie i późniejsze — czy nie zdarzyło się wam spotkać z osobnikami w rodzaju Siemiona Nawzorowa?

Zarówno w opowiadaniu o Niewzorowie jak i w drugim pt. „Zdarzenie na statku”, występuje niejaki Liwerowski, który sam mówi o sobie: „Jestem szpiegiem, agentem międzynarodowego imperializmu”. Ten to agent, przyczyniając się do ciężkiej chwili w urozmaiconym życiu Niewzorowa, jest u Tolstoja posępnym symbolem poczynań kontrrewolucji wobec młodej republiki. Na wołańskim statku „urządzą” jeszcze inni szpiedzy, jak np. mrs. Rebus

oraz nowo zwerbowana agentka Szura. Dobrane to towarzystwo po pierwsze rywalizuje między sobą, a po drugie w miarę sił i możliwości uprawia swój proceder. Z niedoszłych ofiar Liwerskiego i spółki najciekawsze są sylwetki profesora Rodinowa, który mimo swej całej uczoności nie mógł wybrnąć ze swych skomplikowanych spraw osobistych — oraz Murzyna Hopkinsa, odkrywcy z dziedziny zootechniki, który pomyślnie rozwiązał w swym ciężkim życiu problem miłości i obowiązku. Hopkinsa, którego brata zlinczowano w Ameryce, jedzie teraz, aby swe umiejętności i zapal do pracy ofiarować tym, którzy potrafią to lepiej ocenić — ludziom Związku Radzieckiego. W miarę ponętna pani Rebus przy pomocy swych wdzięków ma zawrócić Hopkinsa z tej drogi i skłonić go do powrotu. Oszołomiony chwilowo jej zabiegami Murzyn bezwzględnie odrzuca postawioną propozycję, rezygnując zresztą z miłości, która była tylko zręczną gierką kobiety — szpiega. Rzecz kończy się pomyślnie, szpiegów szpiegów likwiduje kom'sarz Gusjew — jakby typ nowoczesnego detektywa. Opowiadanie jest pełne sensorycznego napięcia, nieoczekiwanych sytuacji i powikłań, czyta się je przyjemnie, posiada bowiem lekką formę... A przecież problemy w nim zawarte mają swój poważny ciężar gatunkowy: likwidacja interwencji, zagadnienie dyskryminacji rasowej, nawet problem życia rodzinnego...

Wydane przez PIW opowiadania Aleksego Tolstoja, wielkiego klasyka literatury radzieckiej, w starannym przekładzie M. Bielickiego — to na naszym rynku księgarskim pozycja interesująca i wartościowa. G. K.

Nad jeziorem „Jūtaj”

„Tsao Ming — czytamy we wstępie redakcyjnym książki „Źródło siły” — jest najwybitniejszą współczesną pisarką chińską. Urodziła się w 1913 r. w południowych Chinach i już od dziecka ciężką pracą zarabiała na życie. W 1932 roku wstąpiła do Związku Pisarzy Lewicowych. Kilkakrotnie więziona przez Czan-Kai-szeka, dopiero po wywołaniu Chin mogła w pełni rozwinąć swą działalność literacką. Jej najlepszą książką współczesną jest „Źródło siły”.

Życie literackie młodych Chin Ludowych, oparte o wielowiekowe tradycje sztuki ludowej, społeczeństwo polskie miało możliwość poznać od strony, że tak powiem, atrakcyjno-wizualnej. Widzieliśmy przedziwne, wymagające niezwyklego kunsztu, cyrk chiński, widzieliśmy piękny, nawet niezrozumiały w swym egzotyzmie starochiński teatr i balet. Natomiast w zakresie literatury „Źródło siły” jest na naszym rynku księgarskim pierwszą pozycją i już choćby z tego powodu zasługuje na uwagę, tym bardziej, że tematem powieści pani Tsao Ming jest pewien odcinek odbudowy kraju naszych dalekich przajaciół zniszczonego przez wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

Nad jeziorem Jūtaj stoi zniszczona elektrownia. Tubyłcy, dawni robotnicy tej elektrowni, powoli otrząsają się z ciężkich wspomnień, związanych z długoletnim okresem japońskiej okupacji, twardej rządów kuomintangowców, oczekują z kolei przybycia ludzi „Ósmej Armii”. Słyszeli, że nie sie ona wolność i pracę, ale ciężkie życie nauczyło ich ostrożności, prze-

* Tsao Ming „Źródło siły”. Tłum. z rosyjskiego W Jankowska. „Czytelnik”, Kraków, 1951. Stron 153.

sączyło pesymizmem. Są zrezygnowani i pełni rezerwy wobec nowej władzy. Chcieliby tylko puścić w ruch „swoją” elektrownię, bo się do niej przyzwyczaili w okresie jej budowy i potem, kiedy pracowali w niej pod okrutnymi rządami Japończyków. Zanim zjawia się przedstawiciel „Ósmej Armii” robotnicy, pod przewodem starego Sun Huej-te, własnymi siłami zaczynają remontować zdewastowaną elektrownię. Sun Huej-te przybył z stratą ukochanego syna, który padł ofiarą zabójczych metod pracy, stworzonych robotnikom chińskim przez japońskich inżynierów. Sun Huej-te cieszy się wielkim autorytetem miejscowych robotników. Ani ciężka, nieraz ponad siły praca, ani krzywdy osobiste nie potrafiły mu odjąć hartu ducha i wewnętrznej równowagi. Symbolizuje on jakby ducha narodu chińskiego, którego mocy nie zdołały zniszczyć lata obcej niewoli i rodzimego wyzysku. Sun Huej-te wierzy w lepszą przyszłość swego kraju i swoją postawą wiarę umacnia wśród najbliższego otoczenia. Budzi zapal i chęć do pracy. Elektrownia ruszy... Kiedy nad jeziorem Jūtaj przybędą przedstawiciele „Ósmej Armii” ludowo-rewolucyjnej, żeby zbadać możliwości odbudowy elektrowni, zastaną miejscowych robotników prowadzących wstępne roboty około jej uruchomienia z zapalem gospodarzy krzątających się przy swoim obowiązkach...

Sun Huej-te jest niewątpliwie najciekawszą i najwyraziściej zarysowaną postacią powieści, która poza tym wykazuje — mimo dużego ładunku ideologicznego — poważne braki i nawiązania fakturalno-artystyczne. Trudno zresztą mówić o języku i stylu tego utworu, jeśli się zważy, że skala wzruszeń emocjonalno-artystycznych Chińczyków jest zupełnie odmienną od naszej. Należy też wziąć pod uwagę — założywszy przy tym, iż omawiany utwór nie jest dziełem wielkiej miary — że powieść ta pisana była językiem niedostępnym niemalże zupełnie dla europejskiego konsumenta stawy duchowej, wyjąwszy garstkę sinologów. Tak więc np. „Źródło siły” przetłumaczone zostało początkowo na język rosyjski, z którego dopiero na polski dokonała przekładu Wanda Jankowska. Musimy więc przyjąć, że wszelkie ewentualne pomyłki tłumacza rosyjskiego p. Jankowska również powtórzyła w swym przekładzie. Pewne zastrzeżenia budzi chociażby następujący passus: „Interesowało go to nie dlatego, że chciał dowiedzieć się jakiego zdania są o nim robotnicy i w jaki sposób poprawić swe błędy. Pragnął tylko dowiedzieć się, co o nim mówią”.

Na tak zwany zdrowy, chłopski rozum — jeśli wyrazem o kimś swoje zdanie, to chyba... coś o nim mówię. Prawda? Więc z tego wniosek, że przytoczony powyżej fragment ma w sobie pewne cechy z pewnością niezamierzony przez panią Tsao Ming „chińszczyzny” językowej. Więcej światła — chciałoby się zawołać, tylko doprawdy niewiedomo, pod jakim adresem...

Ale na szczęście takich momentów zaciemniających przejrystą na ogół narrację utworu jest niewiele.

Do istotnych zalet powieści należy, bezsprzecznie trafnie odwołana specyfika psychologii i obyczajowości narodu chińskiego, co zapewne interesuje polskiego czytelnika, niezależnie od dość ubogiej i naiwnej fabuły „Źródła siły”.

G. K.

POPIERAJĄCIE
Katolicki Uniwersytet
Lubelski

Prawda o Bloy i Bernanos

(Dokończenie ze str. 4)

wyjeździe napisze później: „Opisatem ją (Francję po Monachium), bo jeżeli mógł w niej jeszcze żyć człowiek wolny, nie mógł już w niej żyć człowiek z honorem”.

Przez całe swe życie Bernanos walczył i w walce tej spałał się wewnętrznie, atakował wszędzie tam, gdzie dostrzegł lub zdawał mu się, że dostrzegł siły wroga człowieka — mobilizował wszelkie dostępne środki, by skutecznie toczyć tę walkę: od paszkwili, w którym artyzm konkurował z wulgarnością przerzucał się do tonów starotestamentowych proroków.

NIE miejsce tu na odtwarzanie w streszczeniu wszystkie „o, co napisał Dobraczyński: w swych „Gwałtownikach” — odsyłam czytelnika do książki, która warta jest pod każdym względem uważnego i skupionego wglądnięcia się w jej treść. Chciałbym natomiast poświęcić kilka słów zagadnieniu, które nieodparcie nasuwa się przy czytaniu tych esejów, a które ująć by można zapewne, w niebardzo fortunnym sformułowaniu, jako problem roli gwałtowników w życiu ludzkości. Nie sięgamy po inne przykłady, Bloy i Bernanos są wystarczająco typowymi przedstawicielami tego gatunku, który lawiruje zawsze między potępieniem współczesnych a przypadkowym laurowym wieńcem nadawanym zazwyczaj za to, co w ich dorobku jest najważniejsze.

Gwałtowność tych ludzi, jak pisałem już powyżej, nie jest celem samym w sobie, co najwyżej można nazwać ją niezbyt świadomie stosowanym środkiem. Wynika ona z wewnętrznej potrzeby działania, stwarza ją gniew człowieka, który obdarzony bystrym, wnikliwym spojrzeniem, nie chce i nie może pozostać biernym obserwatorem. „Jestem pożerany — pisał Bloy — potrzebą sprawiedliwości, jakby przez smoka wygłodzonego od czasów potopu” i słusznie słowa te opatrzył Dobraczyński komentarzem: „A sprawa sprawiedliwości w języku Ewangelii oznacza świętość”. Wiele świętych Kościoła

zaślanego się w cudze pióra, wszelkie zewnętrzne naśladownictwo kończy się klęską. Na świętość nie ma recepty, dotyczy to tak samo drogi „gwałtownej”. Czy istnieje jednak problem autentyczności w tej dziedzinie? Sądzę, że raczej tak, choć oczywiście nigdy nie jest bezwzględny. Nie wierzę osobście, by katolicy zdolni byli uznać prawdziwego gwałtownika, dotyczy to nawet tych, którzy są pełni uwielbienia dla Bloyów i Bernanosów. Często ich nie widząc ich koło siebie, nie będąc przez nich atakowani i piętnowani.

GWAŁTOWNICY, jak Bloy czy Bernanos, odegrali wielką rolę w historii katolicyzmu swego narodu a niewątpliwie także w skali światowej. Ale przyszłość dopiero pokaże, czy rzucone przez nich ziarno upadło na urodzajny grunt. Bloy oskarżał kapitalizm, wskazywał na powiązania katolików z burżuazją, nie widząc konkretnych rozwiązań w płaszczyźnie społecznej. A na te rozwiązania, na ich praktyczną realizację czekamy po dzień dzisiejszy. Tymczasem zaś następcy ubogiego Proroka, nawet ci, którzy uważają się za jego duchowych synów, bynajmniej nie idą we wskazanym przezeń kierunku. W ocenie społecznej niesprawiedliwości, czego Dobraczyński nie podkreślił, Bernanos jest raczej w stosunku do Bloy krokiem w tył. Współczesnym katolikom potrzeba wielkich współczesnych świętych, a wśród nich także i gwałtowników, gwałtowników nie tylko słowa lecz przede wszystkim czynu, mszczących na ziemi krzywdę, budujących lepszy, sprawiedliwszy świat, gwałtowników wiernych nakazom Ewangelii, gwałtowników, którzy nieublagani dla zła, w jakiegokolwiek formie się objawia, mogliby powtórzyć za Bernanosem piękne słowa, wypowiedziane na krótko przed śmiercią: „kiedy umrę powędżczę królestwu Ziemi, że kochałem je bardziej, niż to kiedykolwiek ośmieliłem się wyznać”.

Czekanie na gwałtowników wydaje się rzeczą nader niebezpieczną, a już sam ten nastrój, pomijając, że apoteozuje marazm, wytwarza pozerów, fałszywych gwałtowników uprawiających „święty gniew” na zamówienie drobniomieszczanstwa i dobroczynnie kończących wyrzuty sumienia, jeśli tylko takowe się zjawiają. Zresztą wszelkie

J. A. Górski.

*) Aleksey Tolstoj — Przygody — dwa opowiadania. Tłum. M. Bielickiego. PIW, Kraków, 1951, stron 254.

Stanisław ZYGLICH

W IMIĘ POCZUCIA HUMORU

Pamiętacie? Był rok 1948, 1946 i 1947. Na Pradze, która miała po wojnie wcześniejszy start teatralny (ocalała przecież sala „Wedla” przy Grochowskiej, „Powszechny” przy Zamoyckiego i sala kinowa przy Inżynierskiej), aktorzy i reżyserzy rozklejali barwne afisze, zapowiadające ich występy. Wśród tych występów były i rewie i tzw. „bomby

z tandetą sceniczną, z prymitywem w złym tego słowa znaczeniu.

Wbrew przewidywaniom pesymistów nadszedł rok 1951 i 1952. Nie zawsze humor rozdawany ze sceny był humorem dobrego gatunku. Komedia w dalszym ciągu mogła czuć się rodzajem krzywdy onym przez reżyserów czy POPRKPR (to znaczy: Panów od Pianowania Repertuaru, Który Powi-

pieczeństwem dublowania i powielarstwa.

Dlatego, widząc wspólną zasadę, która zmobilizowała obydwie placówki do intensywnej działalności, trzeba je traktować oddzielnie, oceniać osobno, aby porównania czy konfrontacje nie nabrały charakteru niebezpiecznego procedensu. No i oczywiście, ocenę trzeba powierzyć nie-fachowcom, bo primo: fachowców od humoru czyli tzw. humormacherów nie ma secundo: ci, którzy są, minęli się z tzw. powołaniem.

Program „Syreny” pomyślany był i wykonany jako bardzo zwarta całość. Ramy sceniczne (forma ekranu telewizyjnego) efekty świetlne, które chwilami ośniewały widowisk jak Piorun (Stanisław), w eszce konsekwentna metoda prowadzenia konferansjerki oraz trafnie ustalone proporcje skeczu, monologu piosenki i tańca nadały widowisku traktatnie przeciągły a ciągły.

Oczywiście, jak zawsze, skecze stanowiły punkty węzłowe najbardziej „biorące” i — jak nie zawsze — najlepsze „Wizyta” (tekst: Tadeusz Chrzanowski i Kazimierz Rudzki, wykonanie: Tadeusz Olsza, Stanisław Woliński i Jacek Brick) była raczej nudna, a tym samym niedowcipna. To, że trafnie napiętnowała fraternalistyczne zapędy agresorów amerykańskich może zaintrygować każdego, ale nie na tym polega istota dowcipu i satyry. Natomiast skecz „CDD” w swoim komizmie sytuacyjnym, wyglądzie sędziwej „działwy” (Jerzy Bielenia, Stefania Górską, Woliński, Antoni Życki) i w groteskowej koncepcji niemal surrealistycznej satyry rozpoczął złotą serię, którą wzbogaciły „Kadry”, „Pozytywny bohater”, „Inspekcja”, „Transakcja”, a ukoronował „Wielki mecz”.

Trudno omawiać każdy z tych utworów szczegółowo. Krzywdzące ośmówienia ogólne i sumaryczne, ale krzywdę wynagradzają autorom i aktorom oklaski widowni. Recenzenci muszą brutalizować sprawę niemal stenograficznymi wspominkami. Ze „Wielki mecz” wyzwała śmiech prawie fizyczny, ale jednocześnie uczy. Ze Dymśza i Jankowski zdobywają w nim na długo pamięć widowni, a reszta zespołu także ma prawo do zadowolenia z dobrze wykonanej roboty komicznej. Ze „Pozytywny bohater” zbytnio jesz-

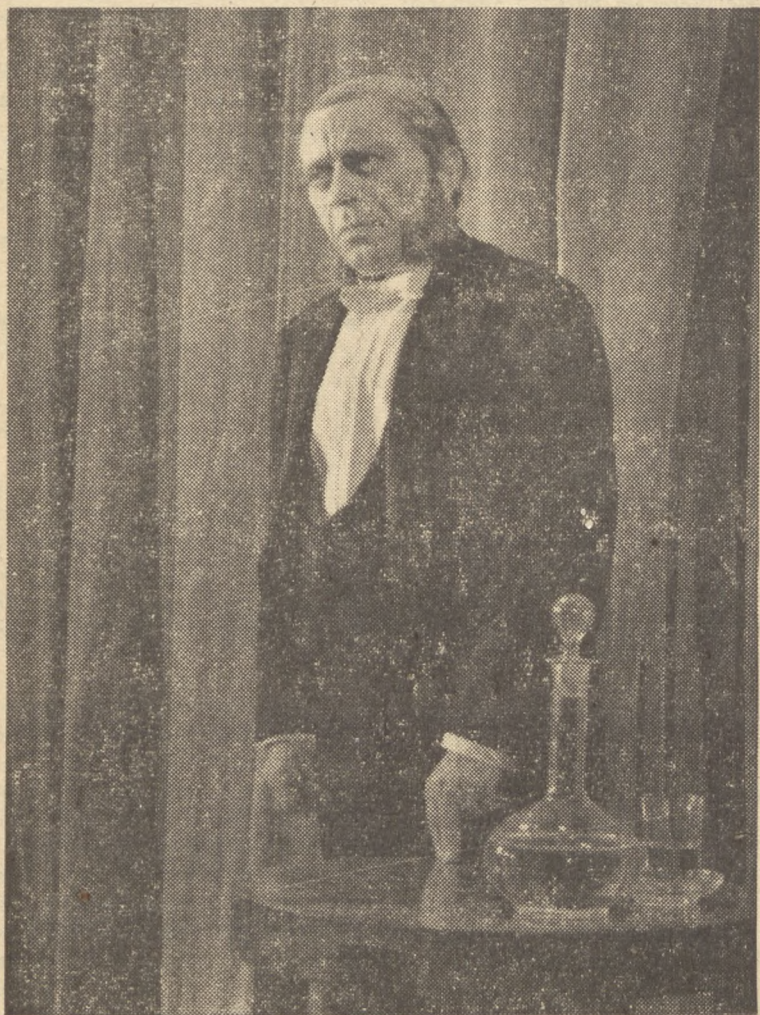
kazały, że dobrze rozumiana i dobrze wykonana sztuka taneczna może dostarczać ważkich przeżyć estetycznych a jednocześnie bawić. Mniej skoordynowane, mniej spójne w kompozycji były „Wianki”, ale na ostatnim miejscu nie pozwala ich sklasyfikować „Fantazja kaukaska” (w układzie tanecznym i w wykonaniu Witolda Borowskiego). Była zbyt mało fantazyjna, źle rozskazywała, uboga w gesty, prawie nijaka. Przykro kontrastowała z lekkością, wdziękiem, barwną plastyką poprzednich występów choreograficznych.

Z piosenkowego materiału najlepiej chyba wypadły „Trzy melodie”, co jest zarówno zasługą opracowania muzycznego (Zygmunt Wichler), jak i wykonawców (Stefan Witas, Mirosława Krajewska, Waclaw Zadrozniński). Natomiast „Warszawą po Warszawie” Łącz przypominał, że jednak jest dobrym piłkarzem, a Jankowska Alina mu w tym pomagała.

O słabszych numerach pozwalały wszakże zaponinać świetne interludia

najlepiej zrobić, gdy lojalnie winą podzielić się na połowy. Spośród „śpiewnych” numerów wybija się na oko dobra w swym tradycyjnym już komizmie nowa piosenka Jurandota „O jednym Florianie Barabaszu” w wykonaniu Ireny Kwiatkowskiej i dialog M. Załuckiego z muzyką J. Kościelnego w wykonaniu Pawłowskiego i Cyglera p.t. „Tylko jeszcze nie wiem”.

Natomiast nad całością programu góruje swą siłą artystyczną i treściową jedyny występ Władysława Godka. Doskonały ten aktor wygłasza monolog Antoniego Czechowa (w tłumaczeniu Jerzego Pomianowskiego) p.t. „O szkodliwości palenia tytoniu”. Świetny tekst, w który zaklęta została tragiczna parodia losu ludzkiego, losu osmieśzonego przez warunki, losu człowieka, który nie ma siły na bunt przeciw małości — tekst ten uzyskał w interpretacji Godka walor niemal wstrząsającej alegorii, stał się w pełnym tego słowa znaczeniu przeżyciem dla wszystkich widzów. Należy się i artyście i reżyserowi pochwała za to, że ponieśli ryzyko ro-



W. Godk wygłasza monolog A. Czechowa

śmieszni” i „dwie godziny szampańskiego humoru”. Humor był niekiedy sobeński, niekiedy sympaniński, czasami wręcz drański. Różni Sci wiarscy opowiadali dowcipy słone, jak Wieliczka, przy których nie śmiali się tylko ludzie ceniący dobry dowcip, natomiast zachkiwali się i dostawali czkawki zachwytu ówczesni protoplaści dzisiejszych chuliganów. Występy taneczne w owych „rewiach humoru” obfitowały w dużą ilość gestów odsłaniających tzw. anatomię, a mających przysłonić brak kultury choreograficznej. Podkład muzyczny pobrzmiwał na przemian motywami „Warszawianki”, „Roty” i lokalnego przeboju „Bogdanko, ach, bogdanko, uwielbiam twe kolanko” lub „Co za dryg, co za szyk, buzi dać”. Konferansjerzy wykazywali dużą odwagę cywilną, ponieważ po opowiedzeniu paru anegdotek pokazywali się jeszcze kilkakrotnie na scenie. To były czasy „Teatru Ludowego”, który stał obok karuzeli tam, gdzie dziś stoi na Pradze gmach poczty. To były czasy „Wróbelka”, który świergotł sprośnie i lubuzerko tam, gdzie dziś rozpoczęto próbną pracę wiertniczą przy budowie metra.

Potem, jak przewidywali ludzie mądrzy i dalekowzroczni, przyszedł rok 1948, 1949, 1950. Zaplanowano zdrowy śmiech. Problem małych form teatralnych doczekał się poważniejszych rozwiązań. Nawet zbyt poważnych. Doraźne imprezy „Artosu”, pierwsze próby komediowe, początek prac „Syreny” — wszystko to nosiło stempel zbyt powagi urzędowej. Wyglądało trochę tak, jak wyglądać musi opowiadanie przez lęklivego buręca dawców przy szefie, który ma mnóstwo kompleksów i nie wiadomo kiedy będzie się śmiał i poklepywał po ramieniu, a kiedy w myśl jakiegoś tam paragrafu pociągnie odpowiedzialnego „za odpowiedzialność”. Pozytywnym osiągnięciem tych wszystkich poczynań było wyraźne zarzucenie tendencji do walki ze szefem.

W dalszym ciągu pisarzami najbardziej nadążającymi za potrzebami współczesnego komediopisarstwa byli: Molière i Fredo, w dalszym ciągu zdarzały się kiksy z „Milionowymi jajkami”. Ale narastał proces krystalizowania koncepcji teatru małych form. Sporo doświadczeń negatywnych zebrała warszawska „Syrena” i „Penelopa” i „Dwa tygodnie w raj” ukazywały konieczność podjęcia próby trudniejszej, lecz ciekawszej, konieczność zdynamiczowania satyry scenicznej, wzbogacenia jej środków, epikantnienia i pogłębienia jej treści.

Ostatnie tygodnie przyniosły dwa spektakle nowe w pomysłach, a przede wszystkim nowe w swoim dynamizmie i ambicjach satyryczno-literacko-humorystycznych koncepcyjnych. Znany teatr „Syrena” wystąpił z programem p.t. „To się pokaże”, a Teatr Satyryków zadebiutował w rewii p.t. „Objęźdzalnia Społeczna”.

Obydwa te przedstawienia zapowiadają (zastukajmy wszyscy jednogłośnie w niemalowane drzewo) ciekawy etap rozwoju naszego teatru małych form. Realizują one postulat planowego uaktywnienia sektora społecznego bawienia i adekwatnej do sytuacji dystrybucji elementów rozrywkowo-kulturalnych. Mówiąc po ludzku: nareszcie można się pośmiać nie z programu, ale dzięki programowi, można spędzić po dwie godziny, które nie są roboczo-godzinami, lecz godzinami dobrej i mądrej zabawy.

Chociaż i „Syrena” i Teatr Satyryków realizują wspólny cel, chociaż korzystają z podobnych motywów tematycznych (bikiniarstwo, emigracja, sentyment à la Oppman w notorycznej miłości do Warszawy), każdy z programów posiada swój odrębny koloryt, tempo i specyficzny klimat pozwalający przypuszczać, że (zastukajmy wszyscy jednogłośnie w niemalowane drzewo!) dalszy rozwój obydwóch placówek nie będzie zahamowany nlebez-



Speaker „Głosu Ameryki” (Brusikiewicz) przeprowadza wywiad z Bartkiem (Pawłowski)

czym przypomina pozytywnego bohatera, który jest negatywnym bohaterem „pozytywnego bohatera”. Ze Łącz lepiej gra na boisku niż na scenie. Ze Dymśza w „Inspekcji” był potrójnym Dymśzą i to nie tylko oświadczył w „Wywiadzie” Barbara Halmirska w roli dojarzki świetnie wydołała doskonale. Ze jeszcze raz wspomnieć trzeba Dymśzę w roli „Bażanta”, którego tekst Antoniego Slonimskiego, zyskiwał na plastyce dzięki doskonałemu opanowaniu mimiki twarzy, rąk, kolan i bioder wykonawcy.

Element choreograficzny spektaklu był wdzięcznym uzupełnieniem programu i „Spotkanie” i „Walc” wy-



St. Witas i Adolf Dymśza w roli potrójnego referenta ze skeczu „Inspekcja”

Jankowskiego w roli prelegenta oraz świetne efekty Pioruna. Konferansjerka Kazimierza Rudzkiego czasami do wodziła, że powolne manieryzowanie się to rzecz rudzka. Wątpliwym pomysłem wydało się zakończenie spektaklu „dobrym”, poważnym wierszem Slonimskiego, który ładnie recytowała Barbara Marszałówna. Kompozycyjnie wyglądało to trochę tak, jak opatrywanie szlachetnym morałem pieprznej anegdoty.

Porządkując wrażenia ogólne, jakie się wynosi z „Syreny” trzeba powtórzyć z zadowoleniem, że najnowszy jej program jest programem udanym.

Również ciekawe są dalsze losy i rozwój Teatru Satyryków. Start należy uznać za świetny. „Objęźdzalnia Społeczna” nie jest, co prawda, programem o ambicjach jakiegos jednolitego układu. Reżyser i konferansjerzy nie usiłowali nawet stworzyć pozorów zwartości, pokusili się natomiast o jak największą wartość, o wartkość, o tempo i dynamizm małej formy scenicznej. Każda z poszczególnych części programu jest całością sama dla siebie. Wspólną zasadą kompozycyjną ujednolicającą, lecz nie nudyfikującą ogólnego układu jest intensywność pierwiastka satyrycznego. Pauzami pozostawionymi dla wypoczynku mięśni śmiechowych są piosenki.

Piosenki te, prawdę powiedziawszy, stanowią chyba najmniej rewelacyjne punkty programu. W wykonaniu Lidi Wysockiej („To mój Paryż”, „Mój kraj”, „Asturia”) frapowały raczej swoją szlachetnością, patetycznych treści. W wykonaniu Moniki Poleskiej („Piosenki Moniuszki”, „Szpak” i „Tak bywa”) urzekały wdziękiem świeżego głosu i sentymentalnej lezki. W wykonaniu Kazimierza Brusikiewicza („Obywatelko funkcyjnariuszko”) żenowały już tanioczą efekty treściowych. W wykonaniu Tadeusza Cyglera („Pena”) niepokoiły łatwotkim humorem. Jeśli autor tekstu (Jerzy Jurandot) chciałby na kogoś zważyć winę, niewątpliwie „podstawił” mu się w „Walcu”, ale

zerwania ram normalnego spektaklu, naruszenia niejako jego proporcji i wymiaru satyrycznego. Monolog Godka na pewno jakoś wychodzi poza ramy, na pewno uderza w ton wyższy od tonu reszty programu, ale nikt, kto słyszał ten referat „O szkodliwości palenia tytoniu” nie będzie się czepiał jakichś reguł kompozycyjnych.

Spośród numerów sensu stricto rewiowych satyrycznych największym ładunkiem humoru i doskonałości na jej kironii przetłumaczonej pasji demaskatorskiej wyróżnia się przede wszystkim „Wywiad z Bartkiem”. Dowcipny tekst (W.L. Brudzińskiego i A. Marianowicza) wykorzystali obydwaj wykonawcy (Brusikiewicz i Pawłowski) dla miążdżącego ośmieszenia „Głosu Ameryki”. Jest bardzo prawdopodobne że w jej tonie z autentycznych audycji tej „niezależnej” od Amerykanów agencji usłyszymy polemikę ze śmiałkami z ul. Kopnickiej. Byłoby to jeszcze jednym dowodem powodzenia tekstu i dowodem zasług wykonawców, a zwłaszcza Kazimierza Pawłowskiego.

Kazimierzowi Pawłowskiemu należy się także słowo szczerej pochwały za „Słowo o wykonawcach” będące piętrem pikantnej parodii śpiewaczej. Jego „Bikiniarz” już mniej zafrapował. Być może dlatego, że mimowolnie zestawiało się go z „Bażantem” Dymśzy, gdzie i tekst i wykonanie górowało nad pokazem tego samego ptaszka w Teatrze Satyryków.

Natomiast inny popis parodystyczny tego teatru, mianowicie „Zarty muzyczne” w opracowaniu i wykonaniu Marka Andrzejewskiego są cennym i odkrywczym novum. Mamy tu do czynienia jak wima „Le style c'est l'homme”, przethu, gdyby ze znanym cyklem Juliana Tuymaczonym na język muzyczny, z tym, że sownianiem nie do Reya, Maeterlincka, Wyspiańskiego czy Leśmiana, lecz Mozarta, Chopina, Albaniza, Debussyego i Olearczyka. Nawet ludzi o zdecydowanym antytalencie muzycznym do której to grupy złośliwy los ze

(Dokończenie na str. 9)

Józef SZCZAWIŃSKI

Nowa inscenizacja Fredry

W ROKU bieżącym przybiera na sile inwazja sztuk Fredry na sceny polskie. 16 teatrów wystawi 13 pozycji znakomitego polskiego komediopisarza M. in. „Teatr Polski” w Warszawie przygotowuje czołową komedię fredrowską „Zemstę” w inscenizacji i reżyserii Bohdana Korzeniewskiego, jednego z najwybitniejszych naszych reżyserów.

Zwracamy się do prof. Korzeniewskiego z prośbą o parę uwag na temat jego koncepcji realizatorskich związanych z nową premierą.

— Tradycja literacka i sceniczna przekazała nam nieprawdziwego Fredrę — rozpoczyna swe uwagi p. Korzeniewski — Dotychczasowe inscenizacje komedii fredrowskich stworzyły błędne pojęcie stylu fredrowskiego, w związku z tym ustalili się pewien sposób mówienia, pewien typ zachowania się postaci. Ztracono rzecz najistotniejszą, to co z zachwytem znajdujemy u naszego wielkiego komediopisarza — realizm. Dlatego sprawą zasadniczą będzie nowe odczytanie „Zemsty” przez cały zespół, będzie walka o prawdziwego Fredrę

„Zemsta” najbardziej uległa skonwencjonalizowaniu. W okresie międzywojennym poza teatrem Iwo Galla i Ateneum Stefana Jaracza, traktowano sztukę Fredry jako apoteozę szlachetczyzny. Podobnie zresztą krytyka literacka widziała w hr. Aleksandrze obrońcę przeszłości szlacheckiej, co zresztą i dziś zarzucają mu niektórzy krytycy i historycy literatury.

Ten pogląd na twórczość fredrowską urobił się w latach 80-tych ubstulecia, współcześni bowiem Fredrę odbierali jego sztukę w inny sposób

— A Boy, jeśli mówimy już o okresie międzywojennym dwudziestolecia Boy chyba inaczej patrzył na Fredrę?

— Tak, Boy twierdził inaczej, jednak przyczynę realizmu fredrowskiego widział tylko w „wielkiej pozycji” Fredry, w jego kunszcie artystycznym.

Fredro, były oficer, później zamężny ziemianin, nie mówiąc już o rodzimym jego tytule, nie mógł tak ła-

two wyodrębnić się ze swego środowiska, nie miał zresztą zamiaru wyjść poza ramy klasy, z której wyrósł. Te szczegóły biograficzne, mam wrażenie, mogły w dużej mierze zasugerować literaturoznawców, dopomóc im do stworzenia „mitu” fredrowskiego.

Szukając realizmu u Fredry nie twierdzę, że oceniał on przeszłość z pozycji innych niż szlacheckie, ale twierdzę, że jako rasowy pisarz komediowy i satyryk, nie umiał pokazać przeszłości inaczej niż ją widział, a rzeczywistość „Zemsty” oglądał w latach dzieciństwa, podobnie jak oczami dziecka patrzył Mickiewicz na rzeczywistość Pana Tadeusza. Obydwa zresztą te dzieła powstały w jednym czasie.

Ciekawym problemem jest umieszczenie akcji Zemsty w konkretnym okresie czasu. Jak wiemy, komedie tę składował autor kilkakrotnie. My umieszczamy akcję „Zemsty” w latach 1799—1802, to jest bezpośrednio po upadku Rzeczypospolitej. Wskazują na to wyraźnie dowcipne aluzje do osób i wydarzeń współczesnych, choćby do wspomnianej przez Papkina — „Księżny Greckiej”. Ponadto pamiętać należy, że komedia nie zawiera żadnych akcentów politycznych, gdyż akcja rozgrywała się za panowania Stanisława Augusta, charakterystyczne dla owych czasów rozpolitykowanie szlachty nie mogło nie być zanotowane przez realizm fredrowski. Po rozbiorach, jak wiemy, szlachta usunęła się od życia politycznego. To, co powiedziałem, jest jeszcze jednym dowodem nieomylnego widzenia świata przez Fredrę, dowodem fredrowskiego realizmu.

Z tych założeń wynikają poważne konsekwencje dla teatru który pamiętać musi ponadto, że „Zemsta” jest utworem pisany wierszem, że jest prawdziwym widzeniem świata ukazany w formach właściwych wierszowanej komedii wysekiej klasy. Mówienie wierszem, w danym wypadku 8-zgłoskowcem, rytmizuje i układa w pewien sposób przeżycia aktora

— A jak przedstawia się obsada „Zemsty” w Teatrze Polskim?

— Rolę Cześnika powierzono Jerzemu Leszczyńskiemu, Rejenta zagra na zmianę — Karol Adwentowicz i Aleksander Dzwonkowski, przy czym rola ta potraktowana będzie różnie, zależnie od indywidualności artystycznej odtwórców. W roli Podstoliny wystąpi Janina Romanówna, Papkina zagra Jacek Woszczerowicz, Klarę Zdubiają Ewa Krasnodębska i Krystyna Karkowska, Waclawa — Zygmunt Kęstowicz i Tadeusz Łomnicki. W roli murarzy ujrzymy Edwarda Kowalczyka i Mariana Łączka.

— Postać Papkina interpretowano różnie — farsowo, komediowo, groteskowo nawet. Ciekaw jestem, jak Pan widzi tę nieśmiertelną postać fredrowską. —

— Walczymy z konwencjonalnym Papkinem. To postać typowa dla czasów, w których rozgrywa się akcja komedii. Staramy się pokazać Papkina takim, jakim widział go Fredro. Tekst np. dostarcza nam wielu wskazówek dotyczących dziwacznej postaci papkinowskiego. Nazwałbym Papkina „poetą kłamstwa”, czy zauważył pan, że kłamie on orzede wszystkim wtedy, gdy jest sam? Nie zauważono na ogół dotąd drobnego ale charakterystycznego faktu, że nasz bohater znajduje sobie ojca dopiero w chwili pisania testamentu. To jeszcze jeden dowód typowości tej postaci. Takich Papkinów, nieznanego pochodzenia, wiszących u pańskiej klamki było w owych czasach dużo

— A jak zamierza potraktować Pan postać Waclawa?

— Sięgamy do tekstu. W tekście Waclaw występuje jako komisarz, musi być więc ubrany i zachowywać się jako komisarz a więc jako osoba niejako urzędowa. Tu też widzimy wskazówkę dla kostiumologa Waclaw np. nie może nosić kontusza. Młody Rejentowicz w pewnych sytuacjach zachowuje się podobnie jak ojciec. Dostrzegamy wspólne rysy charakteru — skłonność do przesady. Waclaw nie wyodrębnił się ze swego środowiska, mimo oglady i szlif jaki nabrał podczas studiów

— Ciekaw jestem, jak potraktowane zostaną dekoracje, będące przecież ważnym tłem dla akcji?

— Scenografię opracowuje Jan Kosiński. Nawiązujemy do istniejących konkretnie starych zamków. Trzymamy się zasady, że zamek w „Zemście” podzielony jest na dwie połowy. Nie uzależniamy więc architektury wnętrza od charakteru jego mieszkańców. Ponadto pamiętamy, że według wyraźnych wskazówek tekstu Cześnik jest niedawnym mieszkańcem zamku, dlatego w pokojach jego panuje jeszcze nieład, widzimy brak zagospodarowania.

Nie zastanawiano się natomiast dotąd nad umieszczeniem zamku w konkretnej części kraju. Często akcję „Zemsty” umiejscawiano na Ukrainie, tymczasem analiza imion i nazwisk murarzy wskazuje na to, że zamek Rejenta znajduje się gdzieś na Mazowszu i to prawdopodobnie nad Wisłą! Tak więc dokładne studiowanie tekstu oraz pełne zaufanie do realizmu Fredry pozwoli nam na prawdziwe odczytanie „Zemsty”.

Metoda, z którą zapoznał nas prof. Korzeniewski, wydawać się musi jedną i słuszną w stosunku do dzieła nacechowanego realizmem. Ostateczny jej wynik pokaże samo przedstawienie. Niemniej jednak dziękując naszemu Rozmówcy za cenne uwagi, wyrażamy przekonanie, że nowa inscenizacja „Zemsty”, zarówno z uwagi na jej nowatorską metodę realizatorską jak i na obsadę aktorską, stanie się jednym z największych wydarzeń teatralnych po wojnie.

„Lećmy i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu”.

Stanisław Zygllich

Józef Szczawiński

PONURE DZIECIŃSTWO

Interesującym, ale i symptomatycznym zjawiskiem we współczesnej literaturze (mam na myśli pisarzy postępowych) jest holdowanie powieściom o charakterze pamiętnikarsko-autobiograficznym. Są to, jak gdyby obrachunki rodzinne na tle klasowym. Ukazując zatchle zakamarki domów burżuazyjnych z epoki swej młodości, poszczególni pisarze przedstawiają jednocześnie ów spłot wydarzeń, dzięki którym potrafił wylać się z niewzruszalnych, zdawało się pojęć, przesądów i obyczajów. I tak jak np. Jan Gasił z „Pożegnania” jest niewątpliwie wyrazicielem „dziecięco-młodzieńczych” przeżyć Johannes R. Bechera — tak samo Julian Dubrok, bohater powieści „Okuty w powieści” obciążony jest bagażem takichże przeżyć Andre Wurmsera.

Nie chciałbym wdawać się w analogie zachodzące między tymi, niewątpliwie tematycznie zbliżonymi do siebie powieściami. Zresztą o książce Bechera na tym miejscu pisałem, a wszelkie porównania jej z utworem Wurmsera musiałby temu ostatniemu przynieść raczej porażkę. — Andre Wurmsera znają dobrze czytelnicy Ce Soir jak również Lettres Françaises. Szereg jego artykułów publicystyczno-literackich drukowano i w naszej prasie. „L'enfant enchaîné” — to chyba pierwszy jego większy utwór beletrystyczny przetłumaczony na język polski. (Przetłumaczony niestety w sposób niezbyt nie przypominający świetnych tradycji bojsowskich).

Julian Dubrok jest „okuty w powieści” (jak chęć p. Krzywicka) — przytłaczającą atmosferą rodziny swej matki „strasznych mieszczan” — Marcadelów. Jest to familia paryskich komwojażerów, jakby wzięta z kart książki Balzaca, pełna obłudy i pruderii, zapatrzona w swe małe zyski, odgródzona murem natuszonej obojętności wobec reszty świata śmieszny i zarazem smutny wizerunek francuskiego drobniomieszczczyństwa

O czym więc opowiada nam młody Dubrok, zdradzający przedczesne inklinacje do poezji?

Przedstawiając całą galerię typów swych ciotek, wujów i kuzynów, jak gdyby wyodrębnił z tego panopticonu swą matkę, czyniąc to nieświadomie, bo ta nieszczęśliwa w swym małżeństwie młoda kobieta niezmąconie się przecięć nie różni od całej kolekcji Marcadelów. Ale jest matka Juliana, dlatego też syn nie potrafił jej pojąć, ponieważ ją na swój sposób kocha. Nie potrafił pojąć również i ojca, wytwornego i egoistycznego adwokata Teodora Dubroka, który „zwrócił” żonę rodzicom po półrocznym poźwie, oświadczył, że nuda go tak, jak wszyscy Marcadelowie. Daleki małodostępny ojciec, do którego Julian mając lat 12 poszedł z pierwszą wizytą, imponuje chłopcu swą postawą, sposobem bycia, ba nawet mieszkaniem i przyjęciem. Prześniakietw duszną atmosferą domu Marcadelów. Julian chłonie teraz ożywy czy i nowy dla niego powiew apartamentów ojca. „Pamiętaj, że jestem człowiekiem najbardziej tolerancyjnym w świecie i wyzwolonym z przesądów”. Ten wytworny mecenas-liberal ukazuje chłopcu nowe horyzonty, których nie mógł dojrzeć w środowisku rodziny matki. Poznanie ojca — to jakby pierwszy etap w życiu Juliana. Przestał czuć się Marcadelem, stając się Dubrokiem. Należy się domyślać, że w dalszych etapach z Dubroka przeistoczy się w... Andre Wurmsera. O tym książka jednak nie mówi. Porusza natomiast, jak zwykle w powieściach tego typu, sprawy szkolne, zabawy z kolegami, no i oczywiście tradycyjną, pełną naiwnego wdzięku pierwszą miłość, wraz z jej humorystyczno-romantycznymi akcesoriami.

Jeśliby chodziło o najbardziej zasadnicze sklasyfikowanie utworu Wurmsera według formułek — „czym on jest a czym nie jest” to należałoby stwierdzić, iż jest interesującym i błyskotliwym wycinkiem z życia drobnej burżuazji paryskiej z końca XIX stulecia i „jako taki” posiada znaczenie sui generis dokumentarne. Nie jest natomiast

*) Andre Wurmser — „Okuty w powieści” — Powieść Tłum. Irena Krzywicka, „Czytelnik” W-wa, 1951. Stron 194.

utwór ten rewelacją artystyczno-literacką ani też epopeją na miarę „Dzieciństwa” Gorkiego czy też nawet „Pożegnania” Bechera, co bynajmniej nie zmienia faktu, iż ciekawo jesteśmy dalszych powieści Wurmsera pod warunkiem, iż tłumaczenie ich będzie lepsze.

G. K.

NOTKI KULTURALNE

W roku ubiegłym nakrecono we Francji jeden film ko-produkcji francusko-niemieckiej i 13 filmów ko-produkcji włosko-francuskiej. Z tych ostatnich najciekawszy jest obraz p.t. „Siedem grzechów głównych” zrealizowany przez reżyserów: Rob. Rossellini, Yves Allégret, Claude Autant-Lara, Jean Dréville, Eduardo de Filippo. Udział w nim biorą: Viviane Romance, Franj Villard, Michèle Morgan, Françoise Rosay, Noël-Noël, Isa Miranda, Claudine Dupuis, Henri Vidal, Ed. de Filippo, etc. (a)

Na Kongresie Filmu Naukowego w Paryżu wyświetlano 40 filmów naukowych nadesłanych z 15 krajów. Z filmów polskich specjalnie zainteresowanie wzbudziły: „Ruch obrotowy” Janusza Stara, oraz „Kormoran”. (a)

We Francji (w wydaniu Grasseffa) ukazał się w druku zbiór listów van Gogha, pisanych przez genialnego malarza w epoce między 27 a 32 rokami jego życia. Listy te adresowane są do malarza holenderskiego van Rapparda. (a)

W roku bieżącym przypada pięćdziesiąt rocznica ukazania się w druku, po raz pierwszy w dziejach świata, Biblii wydrukowanej przez Jana Gutenberga. „Nakład” tej pięknie ilustrowanej i przystojnej licznymi ornamentami księgi wynosił 160 egzemplarzy. W chwili obecnej pozostało jeszcze na świecie 45 egzemplarzy. Jedenaście z nich znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Jest to pierwsza na kuli ziemskiej księga drukowana ruchomymi czcionkami. Trzeba przynajmniej wybrać księgi, którą miał spotkać ten niezwykły zaszczyt był dokonany przez Jana Gutenberga, rozważnie i dla każdego chrześcijanina właściwie. (a)

W Czechosłowacji obchodzono uroczyste setną rocznicę śmierci Jana Kollara, znanego baśniarza, głosiela wolności i zblżenia narodów słowiańskich. (x)

W ostatnich dniach stycznia wszedł na scenę czeskie dramal postępowego pisarza amerykańskiego Howarda Fastę p.t. „Trzydzieści srebrników” w reżyserii Tomasza Boka i współpracy J. Procházky. (x)

Nakładem literatury pięknej ukazała się na Węgrzech antologia p.t. „Baśń węgierska siedmiu stuleci”. Antologia ta na 1120 stronach zawiera 1100 baśni. (x)

Ruch wydawniczy w Rumunii ciągle wzrasta. Przed Drugą Wojną Światową roczny nakład wszystkich książek i broszur wynosił 100 milionów egzemplarzy. W ramach Planu 5-letniego ukazano się będzie w Rumuńskiej Republice Ludowej rocznie 94 miliony książek, a więc 671 procent więcej w porównaniu z rokiem 1938. (x)

W Rumunii na scenę weszła nowa opera Filareta Barboiu p.t. „Anna Lugolana”, osnuta na motywach znanej pieśni ludowej. (x)

POEZJE ZEBRANE JERZEGO LIEBERTA

ukazały się nakładem
INSTYTUTU WYD. „PAX” WARSZAWA

Zamówienia prosimy kierować do
Biura Sprzedaży W-wa Mokotowska 43
Konto P.K.O. I-8515
Cena zł. 25.—

O jednym obrazie

Łada-Studnicka Krystyna, Pogowska Teresa, Studnicki Juliusz, Teisseyr Stanisław, Wnukowa Józefa, Wcadyński Jan, Żuławska Hanna, Żuławski Jacek — Sopot — „Pierwszomajowa manifestacja 1905”. Olej 300 x 557 cm wystawiony na II Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki, Warszawa, „Zachęta” grudzień 1951 — luty 1952.

WSTĘP PRAWIE METODOLOGICZNY

Nie trzeba doprawdy zbyt wnikliwej krytyki, aby przeglądając recenzje z ostatniej Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki stwierdzić dysproporcję jaka zachodzi między wysiłkiem artystycznym imponującym choćby ilościowo (ponad 600 pozycji) a reakcją krytyki. Parę recenzji, które ukazały się w piśmie, krąży uparcie koło tych samych wyróżnionych obrazów czy rzeźb, pozostawiając poza oceną większość wystawionych prac. Większość to może nie znakomita, ale fakt że tyle nazwisk bez przydziału przecieka przez sieć krytyków jest niepokojący.

Niepokojący jest także ten sprawozdawczo-ustalający recenzentów. Czyżby na tej bogatej wystawie nie było obrazu, który może wzbudzić dyskusję? Czy krytyka A nie łasi polemiki z kry-

tykiem B na temat konkretnego dzieła, chociaż obaj wychodzą z tych samych założeń normatywnej estetyki? Czy sprawdzenie kryteriów równa się mówieniu to samo i tak samo?

Krytyka literacka ocenia książki — indywidualne zjawisko literackie. Oczywiście krytyka także bilansuje mówiąc o powojennej powieści czy twórczości jałowości poety, ale do tego „człowieka piętra” prowadzi droga przez analizę indywidualnych zjawisk. Konieczność, techniczna (!) umieszczania obrazów koło siebie sprawia, że krytyk plastyki stoi wobec silnej pokusy uogólnień.

Dalej język, ubogi język, niewspółmierny z opisywanymi przedmiotami. Jak oddać zawrotną gamę kolorów przy pomocy grubych słów: czerwony, zielony, niebieski? Jak opowiedzieć własnymi słowami kompozycję obrazu? Może tylko krytyk muzyczny czuje większą niewspółmierność, ale ma za to bogaty arsenał terminów fachowych. Czy nie dobrze by było sięgnąć do gwary artystycznej i z niej wydobyc, oczyścić, sprecyzować określenia, pełne trafnej intencji i żywej wrażliwości.

I jeszcze obiektywizm i dokumentacja. Jeśli „próba oka” jest decydującym kryterium oceny — krytyk musi wykazać, że ma oko. Idealem byłoby umieszczenie obok recenzji reprodukcji (kolorowej) i krytyka w pierwszej fazie

polegałaby na wskazywaniu palcem dobrych i złych miejsc płótna. Byłby to sposób podwójnej dokumentacji sądu i wrażliwości sądzącego. Oczywiście recenzja nie jest tylko sałatką z cytatów.

Tyle jeszcze spraw. Pozostałch i prawdziwych zawilosci: a więc st — nek pojęć „forma i treść”, inny niż w literaturze, i problem tematu, i prawdy artystycznej — ale wstęp się przedłuża, więc pora przystąpić do obrazu.

OBRAZ

Ogromne płótno sopockich malarzy przedstawia czoło pochodu 1-majowej manifestacji. Kilkanaście pierwszoplanowych postaci skupiło się wokół człowieka idącego z czerwonym sztandarem (środek obrazu). Grupa ujęta jest w perspektywie, zamkniętej z lewej ubogą architekturą przedmieścia, z prawej strony parkanem kolejowym. Postacie „idą na widza”, obraz otwiera się jak książka.

Manifestanci nie kroczą w jednym szeregu. Dwie wyrwy po prawej i lewej stronie ukazują mocny, celowo przesadzony skrót perspektywy (postacie odległe o krok wydają się bardziej pomniejszone niż w rzeczywistości). Takie operowanie perspektywą było zapewne w intencji malarzy środkiem do wydobycia dynamiki tłumy.

Zaletą tego tłumy jest nieschematyczność w odtworzeniu postaci. Pomimo uproszczonego (niekiedy świetnie) rysunku, mimo wtłoczenia człowieka w ramy ścisłej kompozycji udało się malarzom dać indywidualne sylwetki, oparte niewątpliwie na wnikliwych studiach modeli. Typizacja; jaką zastosowali twórcy „Manifestacji”, dała w efekcie żywą galerię elementu rewolucyjnego tamtych czasów. Jest tedy inteligent z odczuciem, wyrobnicą, fabryczny robotnik, młodzież rzemieślnicza, kobieta z dzieckiem, student, rzemieślnik prosto z warsztatu...

Dalszą zaletą płótna jest kolor. Obrazy o takich wymiarach rozwiązywane są na zasadzie użycia jednego koloru, cementującego wielkość kształtów i barw rozproszonych na dużej powierzchni (tak właśnie postępował Matejko). Malarze sopocy mieli odwagę przemówić językiem współczesnym. Twarze, ubiory są pokazane kolorem, kolorowa jest architektura i nawet bruk (może nawet zbyt beztropko kolorowy). Tylko niebo jest zgaszone i bez wyrazu. Rozumiemy, że jest to niebo fabrycznej Łodzi, ale ta duża nudna przestrzeń, po której błędzi oko widza, jest w tym wyklarowanym obrazie czymś obojętnym i obcym.

Szukając pilnie słabszych stron (zły to krytyk, który nie gani) podkreśliłbym zbyt dużą statyczność tłumy. Umiejętne posłużenia się perspektywą, o czym była mowa wyżej, nie wiele tutaj pomogło. I trudno powiedzieć, co tu zawiniło, czy zbyt duża jednostajność pionów, czy ograniczenie (szlachetne zresztą) gestów, czy wyzbycie się ekspresji psychologicznej. Próba „dynamizowania płótna” przy pomocy dramatycznego epizodu ze sztandarem po lewej stronie zawiodła — jest wątpliwa, niepoważna, doczepiona. Także rozpatrywanie poszczególnych postaci i fragmentów daje większą satysfakcję artystyczną niż obejmowanie całości, którą nie popiera jasna, jednorodna wizja, a raczej mądrze i na zimno dobieganych części.

Ogólnie biorąc obraz sopocki jest śmiałą próbą w zakresie monumentalnego malarstwa. Śmiałość polega na tym, że nie uciekając się do „historycznych sposobów” malarze postanowili rozwiązać samodzielnie płótno środkami właściwymi ich sztuce. A to jest dużo, bardzo dużo.

Czesław Korzewski

Stefan Martha

Z listów do redakcji

SŁOWACKI NIE BYŁ

„GIEŁDZIARZEM”

Szanowny Panie Raktorze!

Po przeczytaniu artykułu „O metodzie biograficznej” (otrzymanego dziś dopiero) muszę zaprotestować jak najenergiczniej przeciw nazwaniu Słowackiego „giełdziarzem”.

Jest to określenie poniekąd ubliżające, a w każdym razie oznaczające kogoś, kto z a w o d o w o zajmuje się spekulacjami giełdowymi, częstokroć bardzo podejrzany.

Słowacki miał zmysł praktyczny, odziedziczony po matce, która doskonale umiała obracać pieniędzmi i dzięki temu — przy niewielkich stosunkowo funduszach — mogła nie tylko utrzymywać syna za granicą, ale nawet finansować pierwsze wydania Jego dzieł. Tu muszę dodać nawiasowo, że odznaczała Ją przy tym wielka delikatność w sprawach pieniężnych w stosunku do innych.

Juliusz prowadził bardzo ściśle rachunki, nigdy nie nikomu nie był winien, a mimo wygodnego i dostatecznego życia zawsze umiał się urządzać jak najoszczędniej w danych warunkach. Oszczędności swoje lokował — tak jak to czyni wielu innych — w papierach giełdowych, a dzięki wrodzonej bystrości w tym kierunku potrafił zawsze wybrać odpowiednią lokatę tak, żeby na tym nie stracić, ale zyskać. Gotów był przy tym chętnie do materialnej pomocy innym.

Oburzona jestem nie tylko na tych, którzy ośmielili się użyć o Nim podobnego wyrażenia, ale i na przewodniczącego dyskusji, który nie przywołał mówców do porządku, i na tych, którzy potem powtórzyli to określenie.

Jakże możemy wymagać, żeby nas szanowali inni, jeżeli sami nie umiemy szanować swoich wielkości.

P.S.

Pozwalam sobie zaznaczyć najuprzejmiej, że:

1) Moje imię nie jest Anna, jak pomyłkowo wydrukowano nad artykułem „Wiek męski Teatru Rapsodycznego”, ale Alina.

2) Nie napisałam również w tym samym artykule o artystce grającej Julię, że „byłaby”, ale, że była doskonałym wcieleniem Zosi.

Może Sz. Panowie zechcą łaskawie polecić sprostowanie tych błędów w najbliższym n-rze „Dz. i J.”.

Z poważaniem
Al. Świdarska

WYJAŚNIENIE WOJCIECHA BAKA

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

Proszę uprzejmie w imię lojalności pisarskiej o umieszczenie następującego krótkiego sprostowania w „Dziś i Jutro”.

P Leszek Prorok w artykule „O metodzie biograficznej” (Nr 7 „Dziś i Jutro”) niestety w celu zwiększenia relacji zniekształcił mój głos w dyskusji. Trudna sztuka zwiększenia, lecz równocześnie ścisłego referowania poglądów sprawia widocznie jeszcze pewne trudności młodemu koledze po piórze. Wobec tego pozwalam sobie podać je w

możliwie lakonicznej formie w celu uniknięcia nieporozumień:

a) według mojego zdania pełna poznanie jakiekolwiek osobowości, nawet własnej, jest dla człowieka nieosiągalne. Jedyne Bóg nas widzi w całej pełni. My sami stoimy wobec siebie często zaskoczeni — często zdumieni, gdy po dłuższym czasie czytamy np. własne listy lub pamiętniki z okresów minionych. Twórczość siłą rzeczy nie ogarnia pełnej osobowości autora,

b) poznanie nawet konwencjonalnej, uproszczonej prawdy o postaciach historycznych szczególnie z XIX w. jest niemożliwe bez uprzedniego gruntownego zbadania istoty, celu i metod tajnych organizacji, które w tym wieku odegrały tak fundamentalną rolę i tak były rozpowszechnione, których zaś dotychczas nie rozszyfrowano. Uważam z tego powodu, że bez dokonania tej przygotowanej pracy wżyskie nasze „konstrukcje” monograficzne wiszą w powietrzu. Są zwykłą fikcją i nie mają z rzeczywistością nic wspólnego;

c) sądzę, że istnieją typy mistyków, którzy w przedziwny sposób łączą mistykę ze spekulacjami finansowymi, nie tylko tak naiwnymi stosunkowo jak obcinanie papierów giełdowych, lecz przekraczającymi wszelkie pojęcie poprawności handlowej ludzkiej. Można tu przytoczyć kabalistów wszelkiego typu, np. Franka i frankistów, o których skandalicznych wręcz spekulacjach finansowych wiemy dobrze, choćby z Graetza lub Kraushara. Nie twierdzą, że Słowacki takimi spekulacjami niemoralnymi się zajmował, jestem przekonany, że tak nie było —

niemniej oczywiście jest dla każdego jako tako z literaturą obznajmionego człowieka, że mistyka Słowackiego była wyraźnie natchniona duchem Kabały i tylko w związku z nią może być zrozumiana. Kabałiści zaś z reguły łączą sprawy duchowe i finansowe. Jeśli w tak blawej sprawie jak głos w dyskusji zabieram czas czytelnikowi, to czynię to dlatego, by podkreślić konieczność ścisłego referowania przekonań. Jeśli to referującemu sprawia trudności, to lepiej nie podawać ich, lecz zadowolić się zwykłym stwierdzeniem: w dyskusji zabrał głos X Y...

Wierząc w najlepszą wolę p. L. Prokora, zabrałem głos, by uniknąć wszelkich nieporozumień, z drugiej zaś strony ostrzegę go przed trudnościami zadaniami sprawozdań.

Łącząc wyrazy szacunku
Wojciech Bąk

HUSZCZA I ŻAGARY

Do Redakcji tygodnika „Dziś i Jutro”.

W związku z artykułem o mojej książce wierszy („Dziś i Jutro”, nr 6), uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższego:

Nie należałem do grupy Żagary-Piony, gdyż w Wiedniu znalazłem się jako siedemnastoletni maturzysta dopiero w roku 1934, kiedy ta grupa już nie istniała. Nie wyklucza to jednak faktu, iż dość żywo interesowałem się twórczością niektórych żagaryistów.

Chronologia i układ zamieszczonych w tomiku wierszy w paru momentach — mało zresztą, moim zdaniem, ważnych — istotnie zawodzi. Obciąża to niżej podpisane go.

Jan Huszcza

KONCERT SYMFONICZNY

Z cyklu symfonii Piotra Czajkowskiego (1840 — 1893) usłyszeliśmy w ramach ostatniego koncertu Filharmonii Warszawskiej — 22 i 24 lutego — jego drugą symfonię c-moll. Zygmunt Latoszewski poprowadził ją swobodnie, pozostawiając orkiestrze dużą możliwość samodzielnego „wygrania” wielu partii partytury. Symfonia „małoruska” wykazuje już miejscami „lwi pazur” późniejszego twórcy symfonii „patetycznej”, której znajomość wyczerpuje w przeważnej mierze „obyćcie się” i osłuchanie słuchaczy z twórczością Czajkowskiego.

Od czasu powstania „symfonii małoruskiej” związek twórcy z ludowością uległ pogłębieniu: dziś „cytowanie” ludowej tematyki zostało na ogół przewyciężone, a jego miejsce zajęła swobodna twórczość przepojona ludowością harmoniki i rytmiki. „Lud tworzy — my zapisujemy” mówił bodajże jeszcze Glinka. Dzisiejszy kompozytor nie jest już aparatem rejestrującym ludowe melodie. „Lud tworzy — my zaś tworzymy za jego wzorem i z nim razem”. Ta zgodność twórczej inwencji to nowy etap twórczości w muzyce. „Ludowość” nie jest już tylko przeżyciem będącym zarodkiem muzycznej tematyki, lecz winna być przeżyta przez twórcę w całej rozciągłości i głębi po to, by mogły powstać dzieła podnoszące to, co „ludowe” do rangi tego, co „ogólnoludzkie”.

Solistą wieczoru był Zbigniew Drzewiecki, który odegrał koncert fortepianowy B-Dur Beethovena (1770 — 1827). W utworze tym dostrzec można wyraźnie przenikanie dawnych — należących do mijającej właśnie wówczas epoki stylu „gala-lant” — i nowych pierwiastków. I — być może — czar tego koncertu polega właśnie na tym stylistycznym „niezdecydowaniu”. Wykazać, jak spoza tradycyjnej jeszcze formy wyłania się już późniejsza, pełna dramatycznej siły osobowość Beethovena — to wydaje się głównym zadaniem pianisty, grającego koncert B-Dur. Tego zmagania się dwóch

„żywiółów” nie wydobyla interpretacja solisty, któremu — co wykazały zagrane na „bis” utwory Debussy’ego i Chopina — lepiej odpowiadają utwory stylistycznie bardziej jednorodne.

Koncert zakończył jeden z najwspanialszych utworów muzyki programowej: „Uczeń Czarnoksiężnika” Dukas’a (1865 — 1935). Rzecz dziwna: „Ucznia” każe się słuchać publiczności jako niemalże muzyki „absolutnej”. A tymczasem wydrukowanie w programie tłumaczenia słynnej ballady Goethego — będącej literacką osnową i „programem” utworu Dukas’a — może w pełni wykazać mistrzostwo przekładu tej ballady na język muzyczny. Podanie ogólnikowe streszczenia niewiele pomoże. Kompozytorowi nie chodziło przecież — jak np. Beethovenowi przy pisaniu „Pastoralnej” — o to, by oddać „więcej wyrazu uczucia aniżeli dźwiękowego malarstwa” (tak brzmiał napis Beethovena na czele owej symfonii). Nie znający dokładnego programu słuchacz nie rozumie dzieła, ani nie będzie mógł w najmniejszym stopniu ocenić maestrii jego twórcy, który niezliczoną ilość razy przerabiał każdy takt swych utworów. Cézanne niszczył te spośród swoich obrazów, które uznawał za niedobre lub słabe. Podobnie i Dukas — palił swoje słabsze (jego zdaniem!) kompozycje i dlatego pozostało po nim jedno właściwie tylko wielkie dzieło: „Uczeń Czarnoksiężnika”. Lecz za to przeszło ono do historii jako arcydzieło muzyki programowej.

Czym kierowała się Filharmonia, łącząc w jednym koncercie trzy zupełnie odmienne dzieła, pozostanie dla piszącego te słowa zupełną tajemnicą. Podczas gdy program dwóch poprzednich koncertów symfonicznych był owocem przemyślenia i opierał się bądź na zasadzie jednorodności, bądź kontrastu, to układ ostatniego koncertu przypisać trzeba chyba — przeproszam bardzo za słowo! — bezmyślności. Bo tylko ona zrodzić może takie dziwolągi.